

ROBIN WRIGHT i NAOMI WATTS
w ekranizacji
opowiadania noblistki



DORIS LESSING
IDEALNE MATKI

FILM W KINACH



 WELKA LITERA

DORIS LESSING

IDEALNE MATKI

Z angielskiego przetłóżył
Bohdan Maliborski



MKS

IDEALNE MATKI

Niewielki cypel, na którym roilo się od kafejek i restauracji, oblewało rozbrykane, acz bezpieczne morze, nie to co prawdziwy ocean, który ryczał i przewalał się za wejściem do zatoki i odgradzającymi ją skałami nazywanymi – nawet na mapach – Zębami Baxtera. Kim był Baxter? Dobrze, często zadawane pytanie. Odpowiedzi udzielała oprawiona w ramki, zręcznie postarzona kartka papieru wisząca na ścianie restauracji U Baxtera usytuowanej w najlepszym, najbardziej prestiżowym miejscu na samym końcu cypla. Kartka informowała, że sala w głębi lokalu była niegdyś szopą Billa Baxtera, którą wybudował własnymi rękami z cegły i trzciny. On sam był niestrudzonym podróżnikiem i wilkiem morskim, który natknął się przypadkiem na tę rajską zatokę i mały skalisty cypel. Wcześniejsze wersje legendy napomykały jeszcze o pokojowo nastawionych i gościnnych tubylcach. Kiedy pojawiły się w niej Zęby Baxtera? Człowiek ten niezmordowanie badał okoliczne wybrzeże i wyspy. Gdy powierzył swój los maleńkiej łupinie, którą własnoręcznie skleił z wyrzuconych na brzeg desek, morze poniosło go pewnej księżycowej nocy do tych siedmiu czarnych skał. Widział stamtąd wyraźnie swój mały domek z latarnią sztormową, równie niezawodną jak latarnia morska, wskazującą drogę do zatoki małym statkom zdolnym przepłynąć przez rafę.

Restaurację U Baxtera otaczały teraz wysokie drzewa osłaniające stoliki i krzesła, a poniżej, z trzech stron, było przyjazne morze.

Biegająca przez zarośla ścieżka prowadziła do ogrodu restauracji. Pewnego popołudnia ruszyło tym łagodnym podejściem sześć osób: czworo dorosłych i dwie małe dziewczynki, których radosne piski brzmiały niczym pokrzykiwanie mew.

Przodem szło dwóch przystojnych mężczyzn, nie młodych, lecz jedynie złośliwiec oceniłby, że są w średnim wieku. Jeden utykał. Za nimi podążały dwie równie przystojne kobiety około sześćdziesiątki – ale nikt nie nazwałby ich starszymi paniami. Złożyli torby, zawiniątka i zabawki przy stoliku, który najwyraźniej dobrze znali. Byli eleganccy i promienni, jak to ludzie, którzy potrafią korzystać ze słońca. Usadowili się. Opalone, jedwabiście gładkie nogi kobiet były

obute w niewyszukane sandały. Ich kompetentne dłonie chwilowo spoczęły w bezruchu. Kobiety po jednej stronie, mężczyźni po drugiej i kręcące się wokół dziewczynki. Sześć jasnych głów. Z pewnością łączyło ich pokrewieństwo. One musiały być matkami tych mężczyzn, a oni byli ich synami. Dziewczynki, głośno domagające się pójścia na plażę, do której prowadziła skalista ścieżka, usłyszały od babć, a później od ojców, że mają być grzeczne i ładnie się bawić. Przykucnęły więc i zaczęły palcami i patyczkami rysować coś na piasku. Śliczne małe dziewczynki. Nic dziwnego, skoro miały tak przystojnych antenatów.

Dziewczyna stojąca w oknie restauracji zawołała do nich:

– Podać to, co zwykle?

Jedna z kobiet potwierdziła skinieniem ręki. Wkrótce pojawiła się taca ze świeżo wyciśniętymi sokami i kanapkami z razowego pieczywa, które wskazywały, że ludzie ci dbają o zdrowie.

Theresa, zdawszy końcowe egzaminy w liceum, wyjechała na rok z Anglii, dokąd zamierzała powrócić na studia. Przekazała im tę informację kilka miesięcy temu, a w zamian otrzymywała na bieżąco wieści o postępach dziewczynek w ich pierwszej szkole. Teraz też spytała, jak im idzie. Obie zgodnie zapisały, że szkoła jest fajowa. Śliczna kelnerka pośpieszyła z powrotem do restauracji, posyłając mężczyznom uśmiech, który sprawił, że kobiety uśmiechnęły się najpierw do siebie nawzajem, a później do synów. Jeden z nich, Tom, powiedział:

– Nigdy nie wróci do Anglii. Wszyscy chłopcy chcą, żeby tu została.

– Głupio robi, jeśli wyjdzie za mąż i wszystko zmarnuje – skomentowała jedna z kobiet, Roz, a właściwie Rozeanne, matka Toma.

Za to druga, Lil (Liliane), matka Iana, rzuciła:

– Hm, czy ja wiem...? – I uśmiechnęła się do Toma.

To ustępstwo czy przyznanie, że oni też istnieją na świecie, sprawiło, że mężczyźni skinęli do siebie głowami, żartobliwie zaciskając usta, jakby w reakcji na często słyszaną wymianę zdań.

– Ma dziewiętnaście lat, jest za młoda – zauważyła Roz.

– Ale kto wie, jak by się to ułożyło? – odrzekła, rumieniąc się, Lil.

Czując swój rumieniec, lekko się skrzywiła, co nadało jej twarzy łobuzerski czy też zadziorny wyraz, na tyle niezgodny z jej prawdziwą naturą, że pozostali wymienili między sobą spojrzenia, które nie tak łatwo było zinterpretować.

Na koniec wszyscy westchnęli i wybuchnęli szczerym śmiechem, który zdawał się stanowić komentarz do tych niedopowiedzeń.

– Z czego się śmiejecie? – spytała jedna z dziewczynek, Shirley, a druga, Alice, dorzuciła, naśladując krnąbrny, choć w istocie niezamierzony, wyraz twarzy babci:

– Co jest takie śmieszne? Nie widzę w tym nic śmiesznego.

Lil poczuła się skrępowana i znowu się zarumieniła.

Shirley nie dała jednak za wygraną, wciąż dopominając się uwagi.

– Co jest takie śmieszne, tatusiu?

Wtedy obaj ojcowie zaczęli na niby mocować się z córkami. Dziewczynki opierały się i umykały, by zaraz znów wracać do zabawy, aż w końcu znalazły schronienie na kolanach babć i już tam pozostały – z klejącymi się powiekami i kciukami w buziach, ziewające. To było upalne

popołudnie.

Senna, pełna zadowolenia scena. Przy innych stolikach w cieniu wysokich drzew odpoczywali podobnie szczęśliwi ludzie. Ledwie kilka metrów niżej pluskało, wzdychało i szumiało morze, a wokół słychać było ciche, rozleniwione głosy.

Theresa zastygła na moment przy oknie, z tacą zimnych drinków, i spojrzała na siedzącą przy stoliku rodzinę. Po policzkach pociekły jej łzy. Zakochała się w Tomie, a później w Ianie, a potem znów w Tomie – z powodu ich wyglądu, obycia i czegoś jeszcze, aury sytości, jakby przez całe życie nasiąkali przyjemnościami, a teraz to oddawali pod postacią niewidzialnych fal zadowolenia.

I jeszcze z powodu łatwości i wprawy, z jaką zajmowali się córeczkami. I dlatego, że babcie zawsze były pod ręką, czyniąc z czwórki szóstkę... Ale gdzie się podziewały ich matki? Przecież dziewczynki miały matki, Hannah i Mary, uderzająco niepodobne do tej jasnowłosej rodziny, do której weszły. Były drobne i ciemne i – choć całkiem ładne – Theresa wiedziała, że nie zasługują na takich mężów. Obydwie pracowały. Prowadziły własną firmę. To dlatego babcie pojawiały się tak często. Zatem babcie nie pracowały? Pracowały, ale mogły w każdej chwili powiedzieć: „Jedźmy do Baxtera” – i przyjeżdżały. Matki czasami też i wtedy robiło się ich ośmioro.

Theresa zakochała się w nich wszystkich. Wreszcie to zrozumiała. Serce wyrywało się do mężczyzn, to oczywiste – ale niezbyt gwałtownie. Łzy napływały jej do oczu, gdy widziała ich razem – kiedy ich obserwowała, tak jak teraz. Z tyłu, przy stoliku pod barem, siedział Derek, młody farmer, który chciał się z nią zenić. Nie miała nic przeciwko niemu, nawet się jej podobał, ale wiedziała, że prawdziwą namiętność wzbudza w niej ta rodzina.

W przenikających przez głęboki cień drzewa promieniach słońca upalne błękitne powietrze, przesiąknięte atmosferą rozkoszy i szczęścia, zdawało się wydzielać wielkie krople czegoś na podobieństwo złotej mgły, którą dostrzegała tylko ona. Właśnie w tamtej chwili postanowiła, że wyjdzie za mąż za swego farmera i tu zostanie, na tym kontynencie. Nie mogła

go porzucić dla zmiennych uroków angielskiego Bradford, choć wrzosowiska nie były takie złe w chwilach, gdy zaświeciło nad nimi słońce. Nie, zostanie tutaj, musi. „Chcę tego, chcę”, powiedziała sobie w duchu, nie powstrzymując już łez. Pragnęła tej fizycznej swobody, spokoju odnajdującego wyraz w leniwych ruchach, w długich opalonych nogach i rękach oraz w złocistym błysku jasnych włosów rozświetlonych słońcem.

Właśnie gdy zdecydowała o swej przyszłości, dojrzała wspinającą się po ścieżce jedną z matek. Mary. Tak, to była ona. Drobna brunetka, wiercipięta, bez cienia wytworności i klasy rodziny.

Szła powoli. Przystanąła, popatrzyła, ruszyła dalej, znów przystanąła, a wszystko to z zaplanowanym rozmysłem.

Ciekawe, co ją ugryzło, zamyśliła się Theresa, która wreszcie odeszła od okna, by zanieść tacę z drinkami zniecierpliwionym już na pewno klientom. Mary Struthers niemal zastygła w miejscu. Stała wpatrzona w rodzinę, marszcząc brwi. Roz Struthers dostrzegła ją i pomachała do niej raz, a później znowu. Potem, jakby usłyszała ostrzeżenie, ręka powoli jej opadła, a twarz zaczęła tracić swą promiennność i blask. Patrzyła na synową, ale jak gdyby nie wprost. To spojrzenie kazało jej synowi, Tomowi, obrócić twarz w tamtą stronę i pomachać. Ian też pomachał. Ich ręce opadły tak jak ręka Roz. Było w tym coś nieodwracalnego.

Mary zatrzymała się. Obok stał stolik. Osunęła się na krzesło. Wpatrywała się w Lil, po czym przeniosła wzrok na swojego męża, Toma. Przymrużone oskarżycielskie oczy wędrowały od jednej twarzy do drugiej. Czegoś szukały. W ręku miała jakąś paczkę. Listy. Siedziała może trzy metry od nich i się wpatrywała.

Obsłużwszy pozostałe stoliki, Theresa znów stanęła przy oknie. W myślach piętnowała Mary, żonę jednego z synów. Wiedziała, że to zazdrość, jednak broniła się następująco: „Gdyby na nich zasługiwała, nie miałabym nic przeciwko niej, ale przy nich jest nikim”.

Tylko zazdrosne oko mogło tak deprecjonować Mary, uderzając ponętą młodą

brunetkę. Teraz jednak nie wyglądała ładnie – miała woskowo bladą twarz i zaciśnięte usta. Theresa dostrzegła listy w jej dłoni. Spojrzała na czwórkę siedzącą przy stoliku. „Jakby udawali posągi”, pomyślała. Światło ich opuszczało. To wspaniałe popołudnie mogło nic sobie z tego wszystkiego nie robić, ale oni siedzieli całkiem nieruchomo, jak skamieniali. A Mary wciąż patrzyła – raz na Lil, czyli Liliane, raz na Roz, Rozeanne, później na Toma i na Iana, i znów na wszystkich po kolei.

Pod wpływem nieświadomego impulsu Theresa naląła do szklanki wody ze stojącego w lodówce dzbanka i pobiegła do Mary. Ta nieśpiesznie obróciła głowę i marszcząc brwi, spojrzała na Theresę, lecz nie wzięła od niej szklanki. Theresa postawiła ją na blacie. Nagle migotanie wody przyciągnęło uwagę Mary. Sięgnęła po szklankę, lecz zaraz cofnęła rękę, zbyt drżącą, by zdołała ją utrzymać.

Theresa wróciła do okna. Czuła, że popołudnie raptem pociemniało. Ona też drżała. Co się stało? Co było nie tak? Wydarzyło się coś strasznego, nieodwracalnego.

W końcu Mary z trudem się podniosła, podeszła do stolika, przy którym siedzieli pozostali, i opadła na stojące nieco z boku krzesło. Nie była częścią tej rodziny.

Wszyscy czworo dostrzegli teraz listy, które trzymała w dłoni.

Siedzieli nieruchomo, wpatrywali się w Mary i czekali.

To ona musiała się odezwać pierwsza. Ale czy chciała? Drżały jej usta, cała drżała. Zdawało się, że za chwilę zemdleje, choć jej młode jasne oskarżycielskie oczy wciąż wędrowały od jednej twarzy do drugiej. Tom. Lil. Roz. Ian. Jej usta wykrzywił grymas, jakby zjadła coś gorzkiego.

„Co jest z nimi nie tak?”, głowiła się Theresa, obserwując ich z okna. Choć ledwie godzinę wcześniej stwierdziła, że nigdy nie mogłaby stąd wyjechać, porzucić tej atmosfery błogości i obfitości, teraz doszła do wniosku, że musi uciekać. „Odmówię Derekowi.

Wyjeżdżam”.

Drzemiąca na kolanach Roz Alice przebudziła się z płaczem i zobaczyła matkę.

– Mamusiu, mamusiu! – Wyciągnęła do niej rękę.

Mary zdołała się podnieść, obeszła stolik, przytrzymując się oparcie krzesła, i wzięła Alice na rękę.

Tymczasem druga dziewczynka przebudziła się na kolanach Lil.

– Gdzie mamusia?

Mary chwyciła Shirley i po chwili już obie znalazły się na jej kolanach.

Dziewczynki wyczuły w Mary panikę, złość i jakiś rodzaj nieszczęścia i próbowały wrócić do babć.

– Babciu! Babciu! Ja chcę do babci!

Mary obejmowała je mocno.

Na twarzy Roz pojawił się gorzki uśmiezek, jakby ktoś w głębi jej duszy potwierdził nadejście złych wieści.

– Babciu, zabierzesz mnie jutro na plażę? – spytała Shirley.

– Babciu, obiecałaś, że pójdziemy na plażę – zawtórowała jej Alice.

Wtedy wreszcie przemówiła łamiącym się głosem Mary.

– Nie, nie pójdziecie na plażę – ucięła i dodała, zwracając się do obydwu starszych kobiet: – Nie będziecie zabierać Shirley i Alice na plażę.

Było to jednocześnie orzeczenie i wyrok.

– Wkrótce się zobaczymy, Alice – powiedziała nieśmiało, wręcz pokornie Lil.

– Nie zobaczycie się – oznajmiła Mary. Wstała z dziećmi, wcisnąwszy do kieszeni spodni plik listów. – Nie! – dorzuciła z furją. Emocje, które się w niej tliły, w końcu znalazły ujście. – Nie. Nie zobaczycie się. Nigdy. Już nigdy ich nie zobaczycie.

Obróciła się na pięcie, ciągnąc za sobą dziewczynki.

– Mary, zaczekaj – odezwał się jej mąż, Tom.

– Nie. – Ruszyła szybko ścieżką w dół, potykając się i ponaglając dzieci.

Teraz z pewnością ta czwórka, kobiety i ich synowie, powinna coś powiedzieć, wytłumaczyć, wyjaśnić – ale nie padło ani jedno słowo. Siedzieli spięci, upokorzeni, posepni. Aż wreszcie ktoś przerwał ciszę. Pierwszy odezwał się Ian, zwracając się bezpośrednio do Roz zażyłym i napastliwym tonem. Patrzył z wściekłością, usta miał zacięte i złe.

– To twoja wina – rzucił. – Tak, twoja. Mówiłem ci. To wszystko przez ciebie.

Roz odpowiedziała na jego gniew własną złością. Wybuchnęła śmiechem, który stawał się coraz twardszy, gorzki i jadowity.

– Moja wina – powtórzyła. – Jasne, czyjaż by inna? – I znów się roześmiała.

Na scenie wypadłoby to świetnie, ten śmiech, lecz po jej twarzy zaczęły płynąć łzy.

Tymczasem w dole ścieżki Mary podeszła do Hannah, żony Iana, która nie czuła się na siłach, by stanąć twarzą w twarz z winowajcami, a przynajmniej nie w towarzystwie Mary, nieporównywalnie bardziej wściekłej. Pozwoliła, żeby szwagierka udała się tam sama, i czekała na nią, zboląła, pełna wątpliwości i narastającego żalu, który chciał znaleźć jakieś ujście. Lecz nie złości. Nie. Hannah oczekiwała wyjaśnień. Wzięła Shirley od Mary. Dwie młode kobiety stały razem na ścieżce, z dziećmi na rękach, tuż obok żywopłotu z zawciągu, tworzącego granicę ogrodu sąsiedniej kawiarni. Nie rozmawiały, tylko na siebie patrzyły. Hannah szukała u Mary potwierdzenia – i je znalazła. „To prawda, Hannah”.

I ten śmiech. Śmiała się Roz. Do uszu Mary i Hannah dobiegały salwy jej hardego i triumfalnego śmiechu. Były niczym smagnięcia biczem. Obie wzdrygnęły się, słysząc ten okrutny dźwięk. Drżały, chłostane owym śmiechem.

– Zło – wyszeptała w końcu Mary, jakby miała wargi z ciasta czy z gliny.

Gdy dotarły do nich ostatnie wybuchy śmiechu Roz, rozplakały się i popędziły ścieżką w dół, jak najdalej od swoich mężów i teściowych.

Dwie małe dziewczynki zjawiły się w szkole tego samego dnia i o tej samej godzinie, wzajemnie się oceniły i zostały najlepszymi przyjaciółkami. Maleństwa dzielnie stawiały czoło wielkiej, ruchliwej i gwarnej jak hipermarket szkole. Drzemała już w nich świadomość wrogiej szkolnej hierarchii panującej wśród uczennic, lecz oto się sprzymierzyły i stały, trzymając się za ręce i drżąc ze strachu oraz z wysiłku, by nie okazać słabości. „Wspaniała szkoła na wzgórzu, na angielską modłę otoczona ogrodem pod całkiem nieangielskim niebem, gotowa wchłonąć te maleńkie istoty, tak naprawdę dzidzie. Aż łzy cisną się do oczu!”, pomyśleli ich rodzice – i rzeczywiście się cisnęły.

Dziewczynki okazały się odważne i rezolutne i szybko dały sobie radę z zaczepkami, które spotykały wszystkie nowe uczennice. Stawały nawzajem w swojej obronie, tocząc pojedynki w imieniu własnym oraz przyjaciółki. Wszyscy mówili, że są jak siostry, a nawet że jak bliźniaczki. Obie miały lśniące jasne włosy, starannie upięte w koński ogon, i niebieskie

oczy. Obie były jak żywe srebro, ale jeśli przyjrzeć się uważniej, okazywało się, że wcale nie są do siebie takie podobne. Liliane – Lil – była szczupła i drobna, o delikatnych rysach twarzy, a Rozeanne – Roz – bardziej krępa. Lil patrzyła na świat z absolutną powagą, a Roz we wszystkim doszukiwała się żartu. Miło jednak było myśleć i mówić, że są „jak siostry” albo „jak bliźniaczki”, bo przyjemnie jest odnajdywać podobieństwa tam, gdzie pewnie nie ma żadnych – i tak trwało to przez kolejne szkolne semestry i lata. Dziewczynki były nierozłączne, co odpowiadało obu rodzinom mieszkającym przy tej samej ulicy, a rodzice – jak często bywa – dzięki nim się zaprzyjaźnili, mając świadomość, jakie to szczęście, że ich córki tak się dobrały, co wszystkim ułatwiało życie.

Zresztą to życie było łatwe. Niewielu ludzi na świecie cieszy się życiem tak przyjemnym, bezproblemowym i bezrefleksyjnym. Nikt na tym szczęśliwym wybrzeżu nie leżał i nie zapłakiwał się z powodu popełnionych grzechów czy braku pieniędzy, żeby nie wspomnieć o jedzeniu. Cóż za piękna gromadka, wytworna i promienna od słońca, sportu i zdrowych potraw! Niewiele osób wie, że istnieją takie krainy, no chyba że zawitają tam na krótkie wakacje albo dowiedzą się o nich z oszałamiających podróżniczych opowieści. Słońce i morze, morze i słońce – i nieodmiennie szum fal na plaży.

Dziewczynki dorastały w świecie błękitu. Każda ulica kończyła się morzem, niebieskim jak ich oczy – jak często im powtarzano. Nad głowami miały błękitne niebo, które zasnuwało się chmurami i szarzało tak rzadko, że uznawano to za atrakcję. Wiejący równie nieczęsto ostry wiatr niósł ze sobą przyjemny powiew soli, a powietrze zawsze było tu słone. Dziewczynki zlizywały sól z własnych rąk i ramion, a także sobie nawzajem, bawiąc się „w szczeniaki”, jak to nazywały. Wieczne kąpiele też zawsze były słone, więc musiały zmywać sól pod prysznicem wodą pochodzącą z głębi ziemi, z wyczuwalnym posmakiem minerałów. Kiedy Roz nocowała u Lil albo na odwrót, ich rodzice z uśmiechem spoglądali na dwa śliczne szkraby wtulone w siebie jak kocięta albo szczeniaki, pachnące mydłem, a nie solą. Nieodmiennie przez całe dzieciństwo, dniem i nocą, dziewczynkom towarzyszył szum morza, łagodny plusk fal, niczym oddech, wyciszający i kołyszący do snu.

Między siostrami, a zwłaszcza bliźniaczkami, czy nawet między najlepszymi

przyjaciółkami, panuje ostra, często skrywana rywalizacja. Roz wiedziała, jak Lil rozpacza, kiedy jej – Roz – piersi urosły ponad rok wcześniej niż Lil, nie wspominając o innych oznakach dorastania, jednak wielkodusznie ją pocieszała, zdając sobie sprawę, że czas nie wyleczy jej z głębokiej zazdrości o przyjaciółkę. Marzyła, by mieć ciało równie sprężyste i szczupłe jak Lil, która ze swobodą i gracją nosiła ubrania, podczas gdy o niej samej niezyczliwi mówili, że jest pulchna. Musiała uważać na to, co je, a Lil mogła się objadać do woli.

Wkrótce stały się nastolatkami. Lil doskonale radziła sobie w sporcie, a ekstrawertyczna, postawna, energiczna i głośna Roz w szkolnych przedstawieniach, w których grała główne role i rozśmieszała publiczność. Tak jak kiedyś były niczym dwa identyczne ziarenka piasku, nie do odróżnienia, teraz nawzajem się uzupełniały.

Obydwie poszły na uniwersytet, Lil ze względu na sport, a Roz ze względu na zespół teatralny. Pozostały najlepszymi przyjaciółkami, dzieląc się wieściami o swych sukcesach i lekceważąc rywalizację. Były sobie tak bliskie, że choć wiodły prym w całkiem różnych dziedzinach, ich nazwiska i tak zawsze łączono. Żadna nie wdała się w wielkie, wykluczające tę drugą namiętności, zawody miłosne czy zazdrość.

Ukończywszy studia, wkroczyły w dorosły świat, w którym dziewczęta młodo wychodziły za mąż. „Dwadzieścia lat i wciąż jesteś panną!”.

Roz zaczęła się spotykać z Haroldem Struthersem, wykładowcą akademickim i po trosze poetą, a Lil poznała Thea Westerna, właściciela sklepu z ubiorami i sprzętem sportowym. A raczej sklepów. Dobrze mu się powodziło. Mężczyźni polubili się – dziewczynom zależało na tym. Zorganizowali podwójny ślub.

Wszystko dobrze się układało.

Te krewetki, małe rybki, przeistoczyły się we wspaniałe młode kobiety – jedna, Lil, w sukni ślubnej niczym kalia, a druga, Roz, w przypominającej srebrną różę. Tak oceniła to jedna z dużych gazet na stronie poświęconej modzie.

Pary zamieszkały w domach przy tej samej, prowadzącej do morza ulicy, nieopodal skrawka lądu, gdzie mieściła się restauracja U Baxtera. Nie było to modne miejsce, lecz uchodziło za artystyczne. Zgodnie z zasadą, która mówi, że jeśli chcesz wiedzieć, czy dana okolica zyskuje, sprawdź, czy pojawiły się tam pierwsze jaskółki, artyści. Miejsce to wkrótce miało stać się modne. Rodziny zamieszkały naprzeciwko siebie.

Lil była mistrzynią w pływaniu, znaną w całym kraju i za granicą, a Roz nie tylko występowała na scenie i śpiewała, ale także wystawiała sztuki i zaczęła tworzyć własne spektakle. Obydwie miały mnóstwo zajęć. Mimo to Liliane i Theo Westernowie wkrótce obwieścili światu narodziny Iana, a Rozeanne i Harold Struthersowie tydzień później narodziny Thomasa.

Dwaj mali chłopcy, jasnowłosi i uroczy – wszyscy twierdzili, że wyglądają jak bracia. Tymczasem Tom był zrównoważonym dzieckiem, którego krępowała wybujałość matki, a Ian był delikatny, nerwowy i w przeciwieństwie do Toma, „trudny”. Źle sypiał i miewał nocne koszmary.

Rodziny spędzały razem weekendy i wakacje, tworząc jedną wielką szczęśliwą rodzinę, jak wyśpiewywała Roz, opisując ten układ. Mężczyźni wyprawiali się czasem z plecakami na wędrowniki po górach lub na ryby. Chłopcy zawsze będą chłopcami, jak powiedziała Roz.

Tak wszystko trwało i jeśli cokolwiek mogło być nie tak, utrzymywano to w tajemnicy. „Jeśli coś działa, nie naprawiaj”, powiedziałyby Roz. Martwiła się o Lil, nie o siebie, z powodów, które ujrzą światło dzienne później. Lil może mieć problemy, ale nie ona – nie ona, Harold i Tom. Wszystko było dobrze.

Aż do tamtej chwili.

Scena: małżeńska sypialnia. Chłopcy mieli wtedy około dziesięciu lat. Roz leżała na łóżku, Harold przysiadł na poręczu fotela. Patrzył na żonę, uśmiechał się, ale już zdecydował.

Właśnie oznajmił jej, że zaproponowano mu profesurę na uniwersytecie w innym stanie.

– Cóż, myślę, że możesz przyjeżdżać na weekendy albo my do ciebie – powiedziała Roz.

Cała ona. Odsunięcie zagrożenia – czy na pewno? – dla ich małżeństwa. Harold parsknął krótkim, nawet dosyć czułym śmiechem, a po chwili odparł:

– Chcę, żebyście pojechali ze mną.

– Mamy się stąd wyprowadzić?! – Roz usiadła na łóżku, odrzucając do tyłu jasne, teraz kręcone włosy, by uważnie mu się przyjrzeć.

– Czemu nie powiesz wprost? Rozstać się z Lil, bo przecież o to chodzi, prawda?

Roz złożyła ręce na piersiach w teatralnej pozie konsternacji, choć naprawdę była osłupiała i oburzona.

– Co sugerujesz?

– Nie sugeruję, tylko mówię. Może zabrzmie to dziwnie... – takie słowa zwykle zapowiadają kłótnię – ...ale chcę mieć żonę. Prawdziwą.

– Oszalałeś.

– Nie. Chcę ci coś pokazać. – Wyjął puszkę z filmem. – Proszę, Roz. Przejdźmy do sąsiedniego pokoju i obejrzyj to.

No więc wstała z łóżka, wyrażając całą sobą żartobliwy protest.

Była całkiem naga. Z głębokim westchnieniem, adresowanym do bogów lub jakiegoś bezstronnego widza, włożyła różowy obszuty piórami szlafroczek ocalony z teatralnej garderoby.

Uważała, że bardzo do niej pasuje.

Usiadła w pokoju obok, naprzeciwko kawałka białej, wolnej od rupieci ściany.

– Ciekawe, co teraz wymyśliłeś – rzuciła pojednawczo. – Mój ty wielki głuptasie.
Naprawdę, bardzo ciekawe!

Harold puścił film. Była na nim cała czwórka, mężowie i ich żony. Wrócili z plaży. Kobiety miały na sobie pareo zarzucone na kostiumy bikini. Mężczyźni byli w slipkach. Roz i Lil siedziały na sofie, tej samej co teraz Roz, a mężczyźni na twardych drewnianych krzesłach i spoglądali na nie pochyleni do przodu. Kobiety rozmawiały. O czym? Czy to ważne? Patrzyły sobie w oczy, przerzucając się słowami. Mężczyźni próbowali się wtrącić, włączyć do dyskusji, ale kobiety w ogóle ich nie słyszały. Harold, a później także Theo, zdenerwowali się, obaj podnieśli głos, ale żony wciąż nie słyszały. Gdy w końcu zaczęli krzyczeć, Roz wyciągnęła rękę, żeby ich uciszyć.

Roz pamiętała tę rozmowę, mniej więcej. Nie była ważna. Chłopcy mieli wyjechać na weekend do kolegi. Ich rodzice właśnie o tym dyskutowali, i tyle. Ścisłej, dyskutowały matki, a ojców równie dobrze mogłoby tam nie być.

Mężczyźni ostatecznie zamilkli. Usiedli i wymienili spojrzenia. Harold był poirytowany, za to wzrok Thea mówił tylko: „Baby, czego innego można się spodziewać?”.

Omówiwszy wyjazd chłopców, Roz rzuciła: „Muszę ci to powiedzieć...” i nieświadomie zniżając głos, pochyliła się w stronę Lil, żeby coś się z nią podzielić, niczym ważnym.

Mężowie tylko siedzieli i patrzyli – Harold ironicznie, a Theo wyraźnie znudzony.

I tak trwało, aż skończyła się taśma.

– Chcesz powiedzieć, że nakręciłeś to, żeby mi teraz wytknąć? Zorganizowałeś to, żeby

się na mnie odegrać?!

– Skąd! Nie pamiętasz? Filmowałem wcześniej chłopców na plaży. Potem wzięłaś kamerę, żeby sfilmować mnie i Thea. Na koniec Theo spytał: „A dziewczyny?”.

– Och... – westchnęła Roz.

– Dopiero później, kiedy to puściłem, konkretnie wczoraj, zobaczyłem, że... Nie, żebym był zaskoczony. Zawsze tak jest. Ty i Lil. Zawsze.

– Co sugerujesz? Że jesteśmy lesbijkami?

– Nie. Chociaż co by to zmieniło?

– Nie rozumiem, o co ci chodzi?

– Najwidoczniej seks nie jest taki ważny. Nasz seks, jak sądzę, jest bardziej niż dobry, ale to nie ze mną łączy cię prawdziwy związek.

Roz siedziała targana emocjami, załamując ręce, do oczu cisnęły jej się łzy.

– Dlatego chcę, żebyście wyjechali ze mną na północ.

– Chyba zwariowałeś.

– Wiem, że tego nie zrobisz, ale mogłabyś przynajmniej udawać, że się zastanowisz.

– Proponujesz rozwód?

– Nie, ale gdybym spotkał kobietę, dla której byłbym najważniejszy...

– To dałbyś mi znać! – wykrzyknęła Roz, w końcu wybuchając płaczem.

– Och, Roz – powiedział jej mąż. – Nie myśl, że nie żałuję. Przecież wiesz, jak bardzo cię lubię. Będę strasznie tęsknił. Jesteś moim przyjacielem i pewnie najlepszą babką, jaką kiedykolwiek mógłbym mieć w łóżku, i też o tym wiem, ale czuję się tutaj jak duch. Nie liczę się. To wszystko.

Teraz on musiał powstrzymywać łzy. Przetarł oczy dłońmi. Przeszedł do sypialni i położył się na łóżku. Dołączyła do niego. Nawzajem się pocieszali. „Jesteś szalony, Haroldzie, wiesz o tym? Kocham cię”. „Ja też cię kocham, Roz, nie myśl, że przestałem”.

Później Roz zaprosiła do siebie Lil. Kobiety bez słowa obejrzały film do samego końca.

– To dlatego Harold chce odejść – podsumowała Roz, nakreśliwszy Lil ogólny obraz sytuacji.

– Nadal nie rozumiem – odrzekła w końcu Lil, marszcząc czoło, bo najwyraźniej starała się zrozumieć.

Była śmiertelnie poważna, Roz też, ale uśmiechała się przy tym i czuła złość.

– Twierdzi, że prawdziwy związek łączy mnie z tobą, nie z nim.

– O co mu chodzi? – spytała Lil.

– Uważa, że przy nas czuje się wykluczony.

– On wykluczony?! To ja zawsze czułam się pomijana. Przez wszystkie te lata, kiedy patrzyłam na was, marzyłam... – Do tej chwili lojalność związywała jej język, ale teraz wreszcie to z siebie wydusiła: – Moje małżeństwo jest do kitu. Źle mi z Theem. Ja nigdy... ale przecież wiedziałas. Za to ty i Harold zawsze tacy szczęśliwi... Ile razy zostawiałam was tutaj, wracałam

do domu z Theem i marzyłam, żeby...

– Nie wiedziałam... To znaczy jasne, że wiedziałam, że Theo nie jest idealnym mężem.

– Łagodnie mówiąc.

– W takim razie powinnaś się z nim rozwieść.

– Nie – odrzuciła ten pomysł Lil, ze wzburzeniem machając ręką. – Nie. Kiedyś zażartowałam w rozmowie z Ianem, żeby go sprawdzić, co by zrobił, gdybym się z nim rozwiodła, a on kompletnie zdębiał. Bardzo długo milczał, wiesz, jak to on, aż w końcu zaczął krzyczeć i się rozplakał. „Nie możesz! Nie możesz! Nie pozwolę ci!”.

– Biedny Tom zostanie bez ojca – powiedziała Roz.

– Ian i tak właściwie go nie ma – odparła Lil. I nagle, gdy rozmowa zdawała się dobiegać końca, spytała: – Roz, czy Harold twierdzi, że jesteśmy lesbijkami?

– Prawie, chociaż niezupełnie.

– Sądysz, że tak właśnie myśli?

– Nie wiem. Raczej nie. – Roz odczuła z niechęcią, że musi się zmierzyć z tym niecodziennym przypuszczeniem. – Powiedziałam mu, że nie rozumiem. „Nie rozumiem, o co ci chodzi”.

– Ale chyba nie jesteśmy? – spytała Lil, najwyraźniej chcąc się upewnić.

– Chyba raczej nie – odrzekła Roz.

– Chociaż zawsze się przyjaźniłyśmy.

– To prawda.

– Kiedy to się zaczęło? Pamiętam nasz pierwszy dzień w szkole.

– Ja też.

– A przedtem? Jak to się stało?

– Nie pamiętam. Może to po prostu szczęście.

– Święta racja. Największe szczęście, jakie mnie w życiu spotkało, to ty.

– Owszem – przytaknęła Roz – ale to jeszcze nie znaczy... Cholerni faceci! – dorzuciła z nagłym ożywieniem i złością.

– Cholerni faceci – powtórzyła z naciskiem Lil, myśląc o swoim mężu.

Gdy wreszcie padła ta stosowna do okoliczności uwaga, rozmowa się skończyła.

Harold wyjechał na uniwersytet, gdzie nie było oceanu, morskiej bryzy ani szant i morskich opowieści, tylko piach, krzewy i kolce. Roz odwiedziła go tam raz, a potem znowu, by wystawić spektakl *Oklahoma!*, który odniósł wielki sukces. Nadal cieszyli się swoim bardziej niż dobrym seksem. Roz powiedziała: „Nie wiem, na co się skarżysz”, a on odparł: „Pewnie, bo skąd?”. Kiedy Harold przyjechał z wizytą do niej i do chłopców, którzy zawsze przebywali razem i o których zawsze mówiono w liczbie mnogiej, wyglądało tak, jakby nic się nie zmieniło. Zachowywali się jak małżeństwo – miły Harold i wybujała Roz – młode i lubiane, choć może już nie takie młode, co często podkreślały plotkarskie gazety. Para, która miała się wkrótce rozstać, nie utraciła nic ze swego zewnętrznego małżeńskiego wizerunku. Jak oboje żartowali – a na poczuciu humoru nigdy im nie zbywało – byli jak drzewa o spróchniałym wewnątrz pniu lub wyłysiałe od środka krzaki, czego nie widać pod młodymi liśćmi. Trudno im było się rozstać.

Gdziekolwiek szli, jego witali dawni studenci, a ją ludzie, którzy uczestniczyli w wystawianych przez nią spektaklach. Dla setek osób byli Haroldem i Roz. „Pamiętacie mnie, Roz, Haroldzie?”. Ona pamiętała wszystkich, on swych dawnych studentów. Byli jak para królewska, która poczytuje za swą powinność zapamiętywanie twarzy i nazwisk. „Struthersowie się rozwodzą? No nie! Nie wierzę”.

Była jeszcze ta druga para, również pozostająca w blasku jupiterów. Lil wciąż sędziowała zawody pływackie, biegi i inne imprezy sportowe, wręczała nagrody i wygłaszała przemówienia, a jej przystojny mąż, Theo, miał znaną sieć sklepów z ubiorami i sprzętem sportowym. Oboje szczupli i atrakcyjni, tak jak zaprzyjaźniona z nimi para, lecz w całkowicie odmiennym stylu. Nie było w nich nic przesadnego ani wybujałego. Mili, uśmiechnięci i przystępni – kwintesencja porządnych obywateli.

Separacja Roz i Harolda nie doprowadziła do rozstania Lil i Thea. Ich małżeństwo od lat było fikcją. Theo miał wciąż nowe kochanki. Uskarżał się, że gdziekolwiek kładzie się do łóżka, zawsze zastaje w nim jakąś dziewczynę. Dużo podróżował w interesach.

Później zginął w wypadku samochodowym i Lil została zamożną wdową z synem Ianem, tym kapryśnym, zupełnie niepodobnym do Toma. W nadmorskim miasteczku, gdzie klimat i styl życia sprawiały, że wszystko było na widoku, mieszkały teraz dwie kobiety bez mężów, za to z dwoma synkami.

Młode małżeństwo z dziećmi – interesujący problem, punkt zwrotny, moment przemiany. Przez jakiś czas ci ludzie są obserwowani, oceniani, skupiają uwagę. Młodzi rodzice, z definicji istoty seksualne, i drepczące za nimi albo biegające wokół rozkoszne dzieci. „Och, jaki uroczy chłopczyk, jaka śliczna dziewczynka! Jak ci na imię? Bardzo ładne imię!”. I nagle – a może tylko się tak wydaje – rodzice przestają być tacy młodzi, jakby trochę maleją, a nawet się kurczą, a już na pewno tracą kolor i blask. „Mówisz, że ile on ma lat? A ona?”. Dzieci strzelają w górę i to na nich spływa teraz splendor, to za nimi wędruje wzrok, nie za rodzicami. „Jak one dzisiaj szybko rosną!”.

Dwie przystojne kobiety znów razem, jakby w tym równaniu nigdy nie było mężczyzn, pokazywały się z dwoma pięknymi chłopcami, jednym raczej delikatnym i uduchowionym, z pojaśnialymi od słońca lokami opadającymi na czoło, i drugim – silnym i atletycznym. Przyjaźnili się, tak jak ich matki w tym wieku. W tle pozostawał jeszcze ojciec, Harold, który wyniósł się na północ, gdzie zamieszkał z dziewczyną pozbawioną zapewne wad Roz. Odwiedzał ich i mieszkał wtedy w domu Roz, ale już nie w sypialni (co pewnie obojgu wydawało się absurdalne). Tom z kolei odwiedzał go na uniwersytecie. Na co dzień jednak były to dwie kobiety po trzydziestce i dwóch chłopców, którzy wkrótce przemienią się w młodych mężczyzn. Stojące naprzeciwko siebie domy zdawały się należeć do całej czwórki. „Jesteśmy jedną wielką rodziną”, podsumowała Roz, która nie lubiła niedopowiedzeń.

Chłopięca uroda to nie taka prosta sprawa. Co do dziewcząt rzecz jest oczywista, bo buzują w nich jajeczka, które sprawią, że zostaną matkami. To naturalne, że dziewczyny powinny być piękne i zwykle są, nawet jeśli tylko przez rok albo jeden dzień. Ale chłopcy? Dlaczego? Po co? Jest taka krótka chwila, kiedy mają po szesnaście, siedemnaście lat i otacza ich poetycka aura. Są jak młodzi bogowie. Krewni i znajomi patrzą z zadziwieniem na te istoty, które zdają się przybyszami z lepszego świata. Chłopcy często pozostają tego nieświadomi, postrzegając siebie raczej jako niezdarnie opakowane paczki, które próbują utrzymać w całości.

Roz i Lil wylegiwały się na niewielkiej werandzie z widokiem na morze, gdy dostrzegły nadchodzących ścieżką synów. Mrużyli oczy przed słońcem i wymachiwali mokrymi rzeczami, które za chwilę rozwieszą na balustradzie. Byli tak piękni, że obydwie kobiety aż usiadły, by spojrzeć na siebie z niedowierzaniem.

– Dobry Boże! – zachwyciła się Roz.

– Oj, tak – przyznała jej rację Lil.

– To nasze dzieło, nasze! – rzuciła Roz.

– Bo jeśli nie nasze, to czyje? – dodała Lil.

Odłożywszy ręczniki i kąpielówki, chłopcy minęli matki z uśmiechem dającym do zrozumienia, że są zajęci własnymi sprawami. Nie życzyli sobie, by nakłaniały ich do jedzenia, ścielenia łóżek lub do czegoś równie błahego.

– Mój Boże! – znów zachwyciła się Roz. – Zaczekaj, Lil... – Wstała i weszła do domu, a Lil czekała, uśmiechając się pod nosem, co często robiła na widok teatralnych zachowań przyjaciółki.

Roz wróciła z albumem ze zdjęciami. Przysunęła leżak i zaczęły razem przeglądać strony pełne niemowląt na kocykach lub w kąpielu. To były ich zdjęcia. „Jej pierwszy kroczek”, „pierwszy ząbek”... aż wreszcie doszły do strony, której obie szukały. Dwie dziewczyny w wieku szesnastu lat.

– Mój Boże! – powtórzyła Roz.

– My też wyglądałyśmy nieźle – orzekła Lil.

Rzeczywiście, ładne dziewczyny. Bardzo ładne, dwa cukiereczki. Ale jeśli teraz zrobiono by zdjęcia Ianowi i Tomowi, czy pokazałyby one, jak z zachwyty zapiera dech w piersiach, gdy widzi się ich obu idących przez pokój albo przeskakujących fale?

Kobiety skupiły się na własnych zdjęciach – tych z Roz czy też z Lil. Fotografie Roz z Lil, dwóch ładnych dziewczyn.

Nie znalazły tam jednak tego, czego szukały. Nigdzie nie dojrzały niezmiernego błysku opromieniającego teraz ich synów.

Siedziały w bikini, z albumem rozłożonym na wyciągniętych opalonych nogach, gdy znów pojawili się chłopcy ze szklankami z sokiem.

Przysiedli na murku werandy i zaczęli się wpatrywać w swoje matki, Roz i Lil.

– Co one robią? – spytał z powagą Ian.

– Co robią? – powtórzył ponuro Tom, jak zwykle żartując. Zeskoczył z murku, spojrzął na otwarty album spoczywający po połowie na kolanach Roz i Lil i wrócił na murek. – Podziwiają swoją urodę z czasów, kiedy były nimfetkami – doniósł Ianowi. – Zgadza się, mamó?

– Owszem – potwierdziła Roz. – *Tempus fugit*. Jak wszystko. Chociaż wy jeszcze o tym nie wiecie. Chciałyśmy zobaczyć, jak wyglądałyśmy wieki temu.

– Bez przesady z tymi wiekami – zaprotestowała Lil.

– Lepiej nie liczyć lat – odparła Roz. – Sporo ich minęło.

Ian porwał album z kolan kobiet i razem z Tomem zaczęli się wpatrywać w dziewczyny, które teraz były ich matkami.

– Nieźle – skwitował Tom.

– Całkiem, całkiem – przyznał Ian.

Kobiety wymieniły uśmiechy, a może raczej się skrzywiły.

– Ale teraz wyglądacie lepiej – dodał Ian i spąsował.

– Jesteś uroczy – powiedziała Roz, przyjmując komplement do siebie.

– Czy ja wiem... – zawahał się żartowniś Tom, udając, że porównuje dziewczyny ze starych zdjęć z siedzącymi tu kobietami w bikini. – No nie wiem. Teraz... – zmrużył oczy – ...i wtedy. – Pochylił się nad fotografiami. – Jednak teraz – obwieścił. – Tak, teraz lepiej. –

I wdał się w zapasy czy też szamotaninę z Ianem.

Często się tak zachowywali, zupełnie jak mali chłopcy, choć inni widzieli w nich młodych bogów, których każdy krok i gest był niczym fragment antycznego tańca lub sceny uwiecznionej na starożytniej wazie.

– Za nasze matki! – rzucił Tom, wznosząc toast sokiem pomarańczowym.

– Za nasze matki – podchwycił Ian z uśmiechem adresowanym do Roz, który sprawił, że poruszyła się na leżaku i przesunęła nogi.

Wcześniej powiedziała Lil, że Ian się w niej, w Roz, podkochuje. „Nie przejmuj się, przejdzie mu”, uspokoiła ją Lil.

Tymczasem Ian wciąż nie mógł dojść do siebie po śmierci ojca, od której minęły już dwa lata. Kiedy go stracił, zaczął wyraźnie cierpieć. Schudł, stał się niemal przezroczysty. Jego matka wciąż go nakłaniała: „Jedz, Ian, zjedz coś, musisz”. „Daj mi spokój”, odpowiadał.

Z Tomem wszystko było w porządku, bo ojciec czasami tu przyjeżdżał albo on jeździł do niego na położony w głębi łądu uniwersytet. Natomiast Ian nie miał nic, nawet ciepłych wspomnień. Tam, gdzie powinien być ojciec, choćby byle jaki, ze swoimi romansami i ciągłą nieobecnością, była pustka. Ian próbował dzielnie to znosić, lecz dręczyły go złe sny i obydwie kobiety bardzo nad tym bolały.

Już jako duży chłopak przychodził z oczami opuchniętymi od płaczu do siedzącej na sofie matki i padał obok, a ona go obejmowała. Albo szedł do Roz, która go przytulała i mówiła: „Biedny Ian”.

Tom przyglądał się z powagą, próbując przeniknąć ten ból, nie własny, lecz przyjaciela, niemal brata. „Oni są jak bracia”, mówili ludzie. „Ci dwaj mogliby być braćmi”. Tymczasem jednego zżerała rozpacz, niczym rak, a drugiego nie. Tom próbował ją sobie wyobrazić, ale mu

się nie udawało.

Którejś nocy Roz obudziła się i wstała, by wziąć sobie z lodówki coś do picia. Akurat nocował u nich Ian, co często się zdarzało. Sypiał na drugim łóżku w pokoju Toma lub w sypialni Harolda, jak tym razem. Roz usłyszała jego płacz i bez wahania weszła tam, żeby go objąć i przytulić jak małego chłopca, co przecież robiła od zawsze. Zasnął w jej ramionach, a rankiem patrzył na nią spragniony, pożądlivy, obolały. Roz milczała, rozmyślając o wydarzeniach minionej nocy. Nie wyjawiała Lil, co zaszło. Bo właściwie co zaszło? Nic, co nie zdarzyłoby się już setki razy wcześniej. Było to jednak dziwne. Nie chciała jej martwić! Czyżby? Od kiedy to miała opory, by mówić Lil o wszystkim?

Później tak się złożyło, że Tom spędził dwie noce w domu naprzeciwko, u Lil i Iana. Roz była sama. Zadzwoiła do Harolda i odbyła z nim niemal małżeńską pogawędkę.

– Jak Tom?

– W porządku, jak zawsze. Za to z Ianem nie jest za dobrze. Wciąż przeżywa śmierć Thea.

– Biedak. Przejdzie mu.

– Długo to trwa. Haroldzie, może następnym razem, kiedy tu przyjedziesz, wybierzesz się dokądś z samym Ianem?

– A Tom?

– Tom zrozumie. Martwi się o niego.

– W porządku. Możesz na mnie liczyć.

Harold przyjechał i zabrał Iana na długi spacer po plaży. Ian rozmawiał z Haroldem,

którego znał od zawsze, jak z przybranym ojcem.

– Jest bardzo nieszczęśliwy – oznajmił Harold w rozmowie z Roz i Lil.

– Wiem – potwierdziła Lil.

– Uważa, że jest do niczego. Ma się za nieudacznika.

Cała trójka przyglądała się temu problemowi, jakby rzeczywiście dało się go zobaczyć.

– Jak można być nieudacznikiem, kiedy się ma siedemnaście lat? – zdziwiła się Lil.

– My też się tak czuliśmy? – spytała Roz.

– Ja na pewno – powiedział Harold. – Ale nie martwcie się – uspokoił je.

A potem wrócił na swój uniwersytet na pustyni. Zamierzał ponownie się ożenić.

– Chcesz rozwodu, nie ma sprawy – oświadczyła Roz.

– Myślę, że ona będzie chciała mieć dzieci – wyznał Harold.

– To jeszcze tego nie wiesz?

– Ma dwadzieścia pięć lat. Powinienem ją zapytać?

– Aha! – Roz w mig go przejrzała. – Nie chcesz podsuwać jej tego pomysłu? –

Roześmiała się.

– No właśnie – przytaknęła Harold.

Później Ian znowu u nich nocował, a właściwie był u nich, kiedy szli spać. Zajrzał do pokoju Harolda i rzucił krótkie spojrzenie Roz. Miała nadzieję, że Tom nie zauważył.

Kiedy się obudziła w nocy i już miała wstać po coś do picia z lodówki albo – jak to często robiła – przejść się po domu w ciemnościach, została w łóżku, bojąc się, że usłyszy płacz Iana i nie będzie mogła się powstrzymać, by do niego nie zajrzeć. Raptem zorientowała się, że przeszedł po omacku do jej sypialni i leży obok, ściskając ją jak koło ratunkowe podczas sztormu. A potem dotarło do niej, że wyobraża sobie tych siedem czarnych skał niczym popsute zęby w otchłani nocy, przelewające się przez nie fale i kaskady białej piany.

Rankiem usiadła przy stole w pokoju z wyjściem na werandę. Dochodziła tam morska bryza, szum i plusk fal. Tom wszedł niepewnym krokiem, prosto z łóżka, pachnąc młodzieńczym snem.

– Gdzie Ian? – spytał, czego w normalnych okolicznościach by nie zrobił, bo często obaj spali do południa.

– W moim łóżku – odrzekła Roz, nie podnosząc wzroku i w kółko mieszając kawę.

W normalnych okolicznościach nie zasługiwałoby to na szczególną uwagę, gdyż w tej jednej wielkiej rodzinie zdarzało się, że matki i synowie, same kobiety, któryś z chłopców z którąś z mam, obaj chłopcy lub Harold z kimkolwiek z nich, jeśli akurat przyjechał, polegiwali razem, by odpocząć lub porozmawiać.

Tymczasem Tom wpatrywał się w nią znad wciąż pustego talerza.

Roz wytrzymała jego spojrzenie, co mógł odebrać jako przytaknięcie.

– Jezu! – wykrzyknął.

– No właśnie – zgodziła się Roz.

Wtedy Tom zapomniał o talerzu i pewnie także o soku pomarańczowym, zerwał się, chwycił kąpielówki z murku werandy i pognął na plażę. W normalnych okolicznościach zawołałby Iana, żeby do niego dołączył.

Przepadł wtedy na cały dzień. Były wakacje, ale ponoć miał jakieś zajęcia w szkole. Zwykle się tym nie przejmował.

Lil też nie było w domu, bo gdzieś sędziowała zawody i wróciła dopiero wieczorem. Wtedy przyszła do Roz i rzuciła:

– Roz, padam. Jest coś do jedzenia?

Ian siedział przy stole naprzeciwko Roz, ale na nią nie patrzył. Przed Tomem stał talerz z kolacją. Tom zaczął rozmawiać z Lil, jakby byli sami. Lil była tak zmęczona, że prawie nie zwróciła na to uwagi, ale pozostała dwójka owszem. Zachowywał się tak, póki nie zjedli. Lil oznajmiła, że idzie spać, bo jest wykończona, a Tom po prostu wstał i poszedł razem z nią w mrok.

Następnego ranka wszyscy wstali później niż zwykle. Tom wrócił do domu po drugiej stronie ulicy i zastał Roz przy stole w jej typowej, niedbalej i wygodnej pozie, luźno owiniętą pareo. Nie spojrzał na nią, lecz ogarnął wzrokiem wszystko dookoła, pokój i sufit, oszołomiony swoim radosnym osiągnięciem. Roz nie musiała się domyślać, w jakim jest stanie. Wiedziała, bo Ian w podobnym uniesieniu obściskał ją przez całą noc.

Tymczasem Tom zaczął krążyć po pokoju, zadając pięścią ciosy – a to w poręcz fotela, a to w stół, a to w ścianę. Zamierzał też zaatakować krzesło, które stało obok niej, jak uczeń, który nie może powstrzymać roznoszącej go energii, lecz raptem znieruchomiał i zapatrzył się w dal, marszcząc czoło z namysłem – jak dorosły. Potem obrócił się na pięcie i znalazł się tuż obok matki, znowu jak uczeń, chichotek, cwaniak. I nagły niepokój – nie był już tak pewien siebie ani swojej matki, która poczerwieniała, a następnie zbladła. Zerwała się z krzesła i zaczęła

rozmyślnie mocno go policzkować, raz z jednej, raz z drugiej strony.

– Ani mi się waź... – wyszeptwała, trzęsąc się z wściekłości. – Jak śmiesz...!

Przykucnął, osłaniając rękami głowę, i zerknął na nią z wykrzywioną twarzą, jakby zaraz miał się rozbeczeć, jednak wziął się w garść, wstał i powiedział: „Przepraszam”, choć ani on, ani Roz nie potrafiliby uściślić, za co właściwie przeproszał i czego ma się nie ważyć robić. Nie dopuścić, by słowa lub wyraz twarzy zdradziły, czego dowiedział się o kobietach w tamtą noc spędzoną z Lil?

Tom usiadł, ukrył twarz w dłoniach, po czym poderwał się, chwycił ręcznik i kąpielówki i znów popędził do morza, które owego ranka było płaską błękitną płytą obramowaną kolorowymi domami stojącymi po drugiej stronie zatoki.

Nie wrócił tamtego dnia do domu matki, lecz udał się do Lil. Ian spał – nic nowego. Jemu też było trudno patrzeć na Lil, ale ona to rozumiała. Przecież tak dogłębnie ją znał, a teraz objawiła mu się na nowo. To zbyt wiele, dla każdego, więc tylko porwał swój pływacki ekwipunek i zniknął. Przyszedł dopiero po zmroku. Lil zajęła się codziennymi sprawami, jak zwykle rozmawiała przez telefon, szykowała jedzenie, aż w końcu stanęła i zaczęła lustrować wzrokiem dom naprzeciwko, w którym nie było żadnych oznak życia. Gdy wrócił Ian, dała im obydwu kolację. Później położyli się do łóżek, zamknawszy na zamki drzwi frontowe i kuchenne, o czym przedtem nie zawsze pamiętali.

Minął tydzień. Roz siedziała samotnie przy stole, z filiżanką herbaty, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Wiedziała, że nie może go zignorować, choć wolałaby pozostać w tej bajce czy też śnie, który tak nieoczekiwanie ją wchłonął. Wciągnęła dzinsy i podkoszulek. Wreszcie wyglądała przyzwoicie. Gdy otworzyła drzwi, ujrzała przyjazną, dociekliwą twarz Saula Butlera, ich dobrego sąsiada mieszkającego kilka domów dalej. Przyszedł do Roz, bo podobała mu się Lil i chciał się z nią ożenić.

Kiedy usiadł, Roz poczęstowała go herbatą i czekała, co jej powie.

– Rzadko cię ostatnio widuję, a u Lil nikt nie otwiera.

– Są wakacje.

Ale przecież zwykle Roz i chłopcy albo Lil i chłopcy wciąż kręcili się tu i tam, a ludzie często machali do nich z ulicy, kiedy siedzieli razem przy stole.

– Ian potrzebuje ojca – zaszarżował Saul.

– To prawda – śpiesznie przytaknęła Roz, bo sama przekonała się w tym tygodniu, jak bardzo.

– Jestem pewien, że zdołałbym zastąpić mu ojca, gdyby tylko się na to zgodził.

Saul Butler był postawnym mężczyzną około pięćdziesiątki, choć wyglądał młodziej. Prowadził sieć sklepów z artykułami dla malarzy – farby, płótna, blejtramy, wszelkie tego typu produkty. Poznał Lil na spotkaniach miejskich stowarzyszeń przedsiębiorców. Roz i Lil przyznały, że byłby dobrym kandydatem na męża, gdyby go szukały.

– Czy nie powinieneś powiedzieć tego Lil? – zasugerowała Roz, nie pierwszy raz.

– Mówiłem. Pewnie ma już dość wysłuchiwania tych moich deklaracji.

– I liczysz na moje wsparcie?

– No właśnie. Uważam, że jestem całkiem niezłą partią – dodał z uśmiechem, dystansując się od tej przechwałki.

– Ja też tak uważam – przyznała Roz i roześmiała się, bo podobał jej się ten flirt, jeśli to był flirt. Wystarczył tydzień seksu, aby rzuciła się we flirtowanie jak na łóżko. – Ale co z tego?

Ty chcesz Lil.

– Tak, wpadła mi w oko już jakiś czas temu. – Czyli zanim żona zostawiła go dla innego.
– Ale ona tylko się ze mnie śmieje. Zastanawiam się dlaczego. Przecież jestem poważnym facetem. A gdzie się podziali chłopcy?

– Pewnie pływają.

– Wstąpiłem, żeby się upewnić, że u was wszystko w porządku. – Wstał, dopił herbatę i rzucił: – Do zobaczenia na plaży.

Kiedy wyszedł, Roz zadzwoniła do Lil.

– Powinniśmy częściej się pokazywać. Był tu Saul.

– Może i racja – powiedziała Lil niskim, chropawym głosem.

– Powinniśmy chodzić na plażę, we czwórkę.

Ranek był upalny. Promienie słońca migotały na wodzie. Niebo promieniało światłem, które razi nieosłonięte ciemnymi okularami oczy. Lil i Roz w luźnych pareo narzuconych na bikini, wysmarowane kremem z filtrem przeciwsłonecznym, ruszyły za synami na plażę. Zwykle panował na niej tłok, lecz o tej porze, w powszedni dzień, plażowiczów było niewielu. Dwa leżaki ustawione tuż przy parawanie, który przyniosła Roz, były spłowiałe i zniszczone przez sztormy i słońce, lecz dało się z nich korzystać i kobiety usadowiły się na nich. Chłopcy pobiegli do morza. Tom ledwie przywitał się z matką, a spojrzenie Iana prześlizgnęło się po Lil i uleciało w dal.

Fale były wystarczająco duże, by poplaskać się dla przyjemności. Tu, w zatoce, nigdy nie nadawały się do surfowania. Jego amatorzy wyprawiali się za Zęby Baxtera. W dzieciństwie chłopcy bawili się na tej bezpiecznej plaży, lecz obecnie widzieli, że nadaje się wyłącznie do

pływania. Aby zażyć bardziej ryzykownych sportów, udawali się na plaże dla surferów. Teraz płynęli w dużym oddaleniu jeden od drugiego, ignorując się nawzajem. Ich matki skryły oczy za dyskretnymi, ciemnymi szklami okularów. Żadna z nich nie chciała rozmawiać, a raczej nie mogła.

Nagle dostrzegły w oddali jakąś głowę. Przypominała głowę fokii, lecz gdy się zbliżyła, zobaczyły, że to Saul. Wszedł z wody i pomachał do nich, ale zaraz ruszył przez zarośla i między domami do ulicy.

Chłopcy też płynęli już do brzegu. Osiągnąwszy przybrzeżną płytką, stanęli naprzeciwko siebie i zaczęli się mocować. Walczyli tak przez całe dzieciństwo, jak to chłopcy, lecz wkrótce okazało się, że tym razem ich walka nie ma w sobie nic dzieciennego. Stali zanurzeni po pas, wokół przelewały się fale, bryzgała piana. Nagle Ian zniknął. Tom przytrzymał go pod wodą. Nadciągnęła jedna fala, później kolejna. Zaniepokojona Lil wstała i rzuciła:

– Boże, on go zabije. Tom zabije...

Ian wreszcie się wynurzył, dysząc i chwytając się ramion Toma. I znowu trafił pod wodę.

– Siedź cicho, Lil – powiedziała Roz. – Nie powinnyśmy się wtrącać.

– On go zabije... Tom chce go zabić...

Ian długo był pod wodą, z pewnością minutę, a może dłużej...

Wreszcie Tom wydał z siebie głośny okrzyk i puścił Iana, który wyskoczył na powierzchnię. Ledwie mógł ustać. Upadł, znów się podniósł i podążył wzrokiem za Tomem przedzierającym się przez fale na brzeg. Kiedy Tom wyszedł na piasek, z jego pośladka płynęła krew. Ian ugryzł go pod wodą, rana była paskudna. Ian nadal stał, chwiejąc się, krztusząc i z trudem łapiąc oddech.

Roz zawahała się, po czym wbiegła do wody i wyprowadziła Iana na brzeg. Chłopak był błądy i wymiotował słoną wodą, lecz wyrwał się z jej objęć i usiadł samotnie na piasku, z głową opartą na kolanach. Roz wróciła na swój leżak.

– To nasza wina – szepnęła Lil.

– Przestań. Nic tu nie poradzimy.

Tom stanął na jednej nodze, by przyjrzeć się swojemu pośladowi, który bardzo krwawił. Wrócił do morza i zaczął obmywać ranę wodą. Wyszedł na brzeg, wziął ręcznik, rozdarł go na dwie części i jedną z nich mocno obwiązał nogę. Później stanął niezdecydowany. Mógł pójść do domu, a potem do Lil. Mógł zostać w swoim domu i nie wpuszczać tam Iana. Mógł opaść na piasek tam, gdzie stał, nieopodał parawanu i obydwu kobiet. Tymczasem obrócił się i spojrzał hardo, chyba z ciekawością, na Iana. Wreszcie pokuśtykał w jego stronę i usiadł obok. Żaden się nie odezwał.

Kobiety wpatrywały się w dwóch młodych herosów, swoich synów i kochanków, urodziwych młodych mężczyzn, których ciała błyszcząły od wody i olejku do opalania niczym w dawnych czasach ciała zapaśników.

– I co teraz zrobimy? – szepnęła Lil.

– Wiem, co ja zrobię – odparła Roz i wstała. – Lunch! – zawołała, zupełnie tak samo jak wołała przez lata.

Chłopcy posłusznie wstali i ruszyli za kobietami do domu Roz.

– Trzeba to opatrzyć – powiedziała do syna Roz.

Ian przyniósł apteczkę, zdezynfekował ranę i założył opatrunek.

Na stole, jak zwykle, zagościły kielbaski, ser, szynka, chleb i wielka misa z owocami. Cała czwórka usiadła przy stole i zaczęła jeść. Nie padło ani jedno słowo. Wreszcie przemówiła Roz, spokojnie i z rozmysłem:

– Wszyscy musimy zachowywać się normalnie. Pamiętajcie, ma być tak jak zawsze.

Chłopcy wymienili spojrzenia, najwyraźniej sondując się nawzajem. Spojrzeli na Lil, później na Roz, zmarszczyli brwi. Lil się uśmiechała, ale półgębkiem. Roz podzieliła jabłko na cztery części, każdemu dała po ćwiartce i z apetytem wbiła zęby w swoją część.

– Bardzo zabawne – skomentował Ian.

– Też tak myślę – zgodziła się Roz.

Ian wstał, chwycił wielką kanapkę z sałatką i ćwiartkę jabłka i ruszył do pokoju Roz.

– Cóż... – rzuciła Lil, śmiejąc się jakby z lekką goryczą.

– Otóż to – podsumowała Roz.

Tom wstał i poszedł do domu Lil po drugiej stronie ulicy.

– I co teraz zrobimy? – spytała Lil przyjaciółkę, jakby oczekiwała gotowej odpowiedzi.

– Zdaje się, że już robimy – odrzekła Roz i ruszyła za Ianem do sypialni.

Lil wzięła apteczkę i poszła do siebie. Po drodze pomachała do siedzącego na werandzie swojego domu Saula Butlera.

Zacząła się szkoła. Chłopcy byli w ostatniej klasie. Świetnie sobie radzili i wszyscy ich podziwiali. Lil była w częstych rozjazdach: sędziowała, przyznawała nagrody, wygłaszała

przemówienia. Powszechnie znana, szczupła, wysoka, nieśmiała kobieta w nieskazitelnych jasnych płóciennych strojach, ze starannie uczesanymi, gładkimi blond włosami. Wszyscy lubili ją za miły uśmiech, życzliwość i ciepło, jakie wokół siebie roztaczała. Podkochiwali się w niej chłopcy i dziewczyny, pisząc do niej listy, które często zawierały zdanie: „Wiem, że pani mnie zrozumie”. Tymczasem Roz wystawiła musicale w kilku szkołach i pisała sztukę, farsę o seksie. Była zniewalającą, hałaśliwą kobietą, przekonaną, że potrafi być naprawdę niebezpieczna. „Uwaga, lepiej mnie nie wkurzać!”. Cała czwórka wciąż gdzieś się kręciła, razem lub osobno. Z pozoru nic się nie zmieniło, jadali posiłki przy otwartych oknach od strony ulicy i pływali. Czasami tylko kobiety pozostawały same na plaży, bo chłopcy akurat surfowali na deskach.

Obydwaj się zmienili, Ian bardziej niż Tom. Przedtem nieśmiały i nieporadny, teraz stał się pewny siebie, dorosły. Roz, która pamiętała, jaki był udręczony podczas ich pierwszej wspólnej nocy, w duchu odczuwała dumę z jego przemiany, choć oczywiście nie mogła z nikim o tym rozmawiać, nawet z Lil. To ona zrobiła z niego mężczyznę. Wystarczyło spojrzeć... Już nie czepiał się matczynej sukienki i nie szlochał z powodu samotności i utraty ojca. Po cichu traktował Roz jak swoją własność, co ją bawiło – i co uwielbiała. Tom, który z kolei nigdy nie narzekał na brak śmiałości czy pewności siebie, przeobraził się w silnego, troskliwego młodzieńca okazującego Lil opiekuńczość, jakiej Roz w życiu od niego nie zaznała. Obaj nie byli już chłopcami, lecz przeobrażili się w młodych mężczyzn, w dodatku przystojnych, więc oglądały się za nimi dziewczyny. Domy Lil i Roz stały się – jak nazywały je w żartach – fortecami broniącymi dostępu rozszalałym i pożądlivym młodym kobietom. Tymczasem wewnątrz tych domów otwartych na słońce, morską bryzę i szum fal znajdowały się pokoje, do których nie wchodził nikt, oprócz Iana i Roz oraz Toma i Lil.

Lil wyznała Roz, że jest tak szczęśliwa, aż się tego boi. „Jak to możliwe, że istnieje coś tak wspaniałego?”, wyszeptała cicho w obawie, że ktoś ją usłyszy. Ale kto? W pobliżu nie było nikogo. Lil miała na myśli – i Roz dobrze to rozumiała – że za tak pełne szczęście musi spotkać je kara. Roz zaczęła się głośno wygłupiać i żartować, że to miłość, która nie śmie wymówić swego imienia, i zaśpiewała: „Kocham cię, tak, kocham cię, kocham cię, a kłamać to grzech...”.

– Czasami tak bardzo się boję – powiedziała Lil.

– Bzdury – odparła Roz. – Nie martw się. Wkrótce znudzą się starszankami i zaczną latać za dziewczynami w swoim wieku.

Czas płynął.

Ian dostał się do college'u, gdzie studiował zarządzanie, finanse i informatykę, pracując jednocześnie w firmach związanych ze sportem i pomagając Lil. Wkrótce przejął interes ojca. Tymczasem Tom postanowił studiować na wydziale produkcji teatralnej. Najlepszy taki wydział działał na uczelni jego ojca, dlatego wydawało się oczywiste, że właśnie tam wyjedzie. Harold zapewnił go w liście i w rozmowie telefonicznej, że w domu, gdzie mieszka teraz ze swoją nową żoną i córeczką, jest mnóstwo miejsca. Harold i Roz rozwiedli się w przyjaźni. Tom uznał jednak, że zostanie na miejscu, że to miasto jest jego domem i że nie chce wyjeżdżać na północ. Miejskowa uczelnia też miała całkiem przyzwoity wydział produkcji teatralnej, a dodatkowo mógł się sporo nauczyć od matki. Harold przyjechał nawet, żeby go przekonać. Zamierzał mu wytknąć, że niechęć do wyjazdu świadczy o tym, że Tom jest maminsynkiem, lecz kiedy się z nim spotkał, ujrzał dojrzałego, opanowanego i zdecydowanego młodzieńca i nie mógł mu przedstawić tego najwyraźniej nieuzasadnionego zarzutu. Podczas wizyty Harolda Ian musiał wrócić do domu Lil, a Tom na powrót zamieszkać w domu matki, z czego cała czwórka nie była zadowolona. Harold wyczuł, że chcą się go jak najszybciej pozbyć. Był skąpowany i nieswój. Powiedział Roz, że chłopcy są już zbyt dorośli, by tak często przebywać z matkami.

– Nie prowadzamy ich na smyczy – odcięła się Roz. – Mogą robić, co chcą.

– No to sam nie wiem... – wycofał się w końcu Harold i wrócił do swojej nowej rodziny.

Tom zapisał się na kursy zarządzania teatrem, kierowania sceną, oświetlenia scenicznego, kostiumologii i wiedzy o teatrze. Studia trwały trzy lata.

– Wszyscy ciężko zasuwamy – oznajmiła Roz Haroldowi przez telefon. – Nie wiem, czego się czepiasz.

– Powinnaś poszukać sobie męża – doradził jej Harold.

– Skoro ty ze mną nie wytrzymałeś, to kto zdoła? – odparła Roz.

– Wiesz, jaki jestem staromodny i rodzinny. Przyznasz, że w przeciwieństwie do ciebie.

– To ty mnie rzuciłeś i znalazłeś sobie żonę ideał, więc daj mi spokój. Wynoś się z mojego życia, Haroldzie.

– Mam nadzieję, że to był tylko żart.

Tymczasem Saul Butler zalecał się do Lil.

Dla całej czwórki stało się to tematem żartów, dla Saula też. Przynosił kwiaty, słodycze, czasopisma, pewnego razu zjawił się z jakimś plakatem. Gdy tylko widział, jak Lil idzie do domu Roz, wołał: „Nadchodzi twój wierny sługa!”. Obydwie śmiały się z tego. Roz czasami udawała, że myśli, iż kwiaty są dla niej. Saul zaglądał też czasami do Lil, ale natychmiast zniknął, gdy zastał tam Toma albo Iana.

– Przykro mi, Saul – mówiła mu. – Ale nie wyobrażam sobie, żebym znów mogła wyjść za męża.

– Przecież się starzejesz, Lil. A tu masz swojego wiernego sługę. Kiedyś ci się jeszcze spodobał.

Mawiał też czasami do Roz: „Lil zatęskni kiedyś za mężczyzną w domu”.

Pewnego dnia chłopcy, czy raczej młodzieńcy, szykowali się do surfowania na otwartym oceanie, gdy zjawił się Saul z bukietami dla obu kobiet.

– Wy dwie, siadać! – rzucił.

Kobiety usiadły z uśmiechem i czekały na dalszy rozwój wypadków.

Chłopcy byli na werandzie, zbierając deski surfingowe, ręczniki i gogle.

– Cześć, Saul – przywitał go Tom.

Po dłuższej chwili odezwał się Ian:

– Witaj, Saul. – Najwyraźniej Tom musiał go do tego zachęcić.

Ian nie lubił Saula i bał się go. Powiedział kiedyś do Roz: „On chce nam odebrać Lil”. „Raczej tobie”. „Tak, ale mnie też chce wziąć, gotowego syna. Dlaczego nie zrobi sobie własnych dzieci?”.

„Myślałam, że to ja cię wzięłam”, odparła Roz.

Wtedy Ian przyskoczył do niej, a właściwie wskoczył na nią, żeby pokazać, kto tu kogo wzięł.

„Urocze”, zachwyciła się Roz.

„A Saul niech się wali”, podsumował Ian.

Saul odczekał, aż obaj ruszą ścieżką prowadzącą nad morze, i powiedział:

– Posłuchajcie. Chcę wam obydwu to przekazać. Zamierzam znów się ożenić. Jeśli o mnie chodzi, Lil ma pierwszeństwo, ale rozstrzygnijcie między sobą.

– Nic z tego – odparła Roz, a Lil tylko wzruszyła ramionami. – Wiemy, jak to musi

wyglądać. Jesteś świetną partią dla każdej kobiety.

– Znów wypowiadasz się za Lil.

– Ona już nieraz ci odpowiadała.

– Przecież byłoby wam lepiej z mężczyzną – napierał Saul. – Jesteście same, bez mężczyzn, z dwójką dzieci. To idealne rozwiązanie.

Szok. O co mu chodzi? Co sugeruje?

Tymczasem Saul brnął dalej.

– Obydwie jesteście ładne – ciągnął ich wytworny adorator. – Takie... – I nagle zamarł. Jego twarz wskazywała, że targają nim gwałtowne emocje, aż w końcu rysy mu stężały. – Mój Boże... – wyszeptał i spojrzał na Lil, później na Roz i znowu na Lil. – Mój Boże – powtórzył. – Pewnie macie mnie za skończonego głupka – zakończył beznamiętnie. Był w głębokim szoku. – Jestem idiotą – dodał. – Czyli koniec.

– O czym ty mówisz? – spytała Lil nieśmiało, przeczuwając, co Saul może mieć na myśli.

Roz kopnęła ją pod stołem. Lil pochyliła się, żeby rozetrzeć kostkę, ze wzrokiem utkwionym w Saulu.

– Głupek ze mnie – rzucił Saul. – Musiałyście mieć niezły ubaw. – Wstał i powlókł się do drzwi.

Ledwo zdołał przejść przez ulicę i dotrzeć do domu.

– Rozumiem – powiedziała Lil.

Już chciała za nim pobiec, lecz Roz ją powstrzymała:

– Stój! Dobrze się stało.

– Zaraz się rozniesie, że jesteśmy lesbijkami – zaniepokoiła się Lil.

– I co z tego? Pewnie nie pierwszy raz. Wiesz, jacy są ludzie.

– To mi się nie podoba – upierała się Lil.

– Niech gadają. Im więcej, tym lepiej. Dzięki temu będziemy kryci.

Niedługo potem wybrali się na ślub Saula z pewną młodą ładną kobietą w typie Lil.

Ich synowie byli zadowoleni. Za to kobiety komentowały:

– Żadna z nas nie znajdzie już nikogo lepszego niż Saul. – To zdanie wypowiedziała Lil.

– Zgadza się – przytaknęła Roz.

– To co zrobimy, kiedy chłopcy znudzą się nami, starymi?

– Ja wypłaczę oczy. Załamie się.

– Zaczniemy się z wdziękiem starzeć.

– Akurat! – burknęła Roz. – Będę walczyć do ostatniego tchu.

Nie były stare, nawet nie zbliżyły się do starości. Miały już jednak ponad czterdzieści lat, a chłopcy zdecydowanie przestali być chłopcami i czas ich oszałamiającej urody przeminął. Teraz już nikt by nie pomyślał, widząc tych silnych, pewnych siebie, przystojnych młodych

mężczyzn, że dawniej przyciągali wzrok, w którym malował się zachwyt, żądza i miłość. Przypomniał sobie pewnego dnia, że ich synowie byli kiedyś niczym młodzi bogowie, obie matki zaczęły grzebać w starych fotografiach, lecz nie znalazły tego, co przecież bez wątpienia ich synowie w sobie mieli. Zupełnie jak wtedy, gdy przeglądały swoje stare zdjęcia i dostrzegały na nich tylko ładne dziewczyny, nic więcej.

Ian pomagał już matce w zarządzaniu siecią sklepów sportowych i stał się obiecującym i rozpoznawalnym obywatelem miasta. W teatrze o sukces było trudniej. Tom dopiero zaczynał karierę, gdy Ian niemal osiągnął szczyt. Taka sytuacja była dla Toma nowością, bo wcześniej zawsze to on grał pierwsze skrzypce, a Ian patrzył na niego z podziwem.

Jednak nie odpuszczał. Ciężko pracował. Wobec Lil był jak zawsze czarujący i zaglądał do jej łóżka najczęściej, jak tylko mógł, choć przebywał w teatrze godzinami i wracał do domu o najdziwniejszych porach.

– No widzisz – powiedziała Lil do Roz. – To początek. Zaczynam mu się nudzić.

Tymczasem Ian nie wykazywał oznak znudzenia Roz, wprost przeciwnie. Był troskliwy, wymagający i zaborczy. Gdy pewnego dnia, tuż po stosunku, zobaczył ją leżącą na poduszkach i wyglądającą luźną, starzejącą się skórę na przedramionach, chwycił ją i krzyknął:

– Nie! Przestań, nawet o tym nie myśl. Nie pozwolę, żebyś się zestarzała.

– A jednak to się kiedyś stanie – odparła Roz.

– Nie! – Ian zaszlochał, jak wtedy, gdy był jeszcze zalęknionym i osamotnionym chłopcem w jej ramionach. – Nie, Roz, błagam. Kocham cię.

– Więc nie wolno mi się zestarzeć, tak? Nie pozwalasz mi? Ten chłopak zwariował – oznajmiła Roz, zwracając się do niewidocznych świadków, co czynimy zwykle wtedy, gdy nie da się komuś przemówić do rozsądku.

Kiedy została sama, poczuła się nieswojo, a nawet się przestraszyła. To jego żądanie naprawdę było niedorzeczne. Najwyraźniej Ian nie godził się z myślą, że Roz się zestarzeje. Czyste szaleństwo, ale może właśnie ono jest jedną z tych wielkich niewidzialnych sił, które pchają świat do przodu.

Tymczasem ojciec Toma nie zrezygnował z zamiaru uratowania syna i wcale się z tym nie krył. „Odbiję cię z rąk tych *femmes fatales* – oznajmił mu przez telefon. – Przyjedź tu i pozwól staremu ojcu wziąć cię pod swoje skrzydła”.

– Harold chce mnie przed wami ratować – przekazał Tom matce w drodze do łóżka Lil. – Macie na mnie zły wpływ.

– Trochę za późno – oceniła Roz.

Tom spędził dwa tygodnie u ojca. W gorące wieczory chadzał na krótkie spacerunki wśród rosnących na piaskach zarośli, nad którymi krążyły czujne jastrzębie. Zaprzyjaźnił się z następczynią Roz, Molly, ze swoją ośmioletnią przyrodnią siostrą i noworodkiem, najmłodszym potomkiem ojca.

Był to gwarny dom, w którym życie toczyło się wokół dzieci, ale Tom zwierzył się Ianowi, że tam odpoczął.

– Miło cię wreszcie poznać – przywitała go Molly.

– Tylko nie wyjeżdżaj za prędko – rzucił Harold.

Tom nie wyjechał. Przyjął propozycję wyreżyserowania musicalu *West Side Story* w teatrze uniwersyteckim i postanowił zamieszkać w domu ojca.

Jak zwykle zaczęły kręcić się wokół niego dziewczyny.

– Twój tata uważa, że powinieneś się już ożenić – usłyszał od Molly.

– Naprawdę? Zrobię to w swoim czasie – odparł.

Dobiegał trzydziestki. Jego szkolni koledzy i rówieśnicy byli żonaci albo mieli „partnerki”.

Jedna z dziewczyn mu się spodobała, może dlatego, że tak bardzo różniła się od Lil i Roz. Była drobna, ciemnowłosa i rumiana, dosyć ładna. Flirtowała z nim bez natarczywości. Tutaj, z dala od domu, od matki i Lil, dostrzegł, jak bardzo jest tam krępowany i ograniczany.

Podziwiał matkę, nawet jeśli go irytowała, i kochał Lil. Nie mógł sobie wyobrazić, że idzie do łóżka z inną. Jednak obydwie wiązały go – i to bardzo, a także Iana, w istocie jego brata, choć tylko z wyboru. Tam – jak mówił o swoim mieście – był jego dom, tak bardzo przeniknięty morzem, że gdy Tom słyszał szum wiatru w zaroślach, zdawało mu się, że to szum fal. „Tam nie jestem wolny”.

Tu był. Zgodził się wystawić kolejny spektakl. Oznaczało to następne trzy miesiące „tutaj”. Do tego czasu przyjęto już, że on i Mary Lloyd „są razem”. Słyszac to określenie, Tom nie reagował. Ani nie potwierdzał, ani nie zaprzeczał – tylko się śmiał. Jednak to z Mary chodził do kina lub zapraszał ją do domu ojca na uroczyste kolacje.

– Mogłeś wybrać dużo gorzej – ocenił sytuację Harold.

– Jeśli o mnie chodzi, to nikogo nie wybierałem – odparł Tom.

– Czyżby? Myślę, że ona widzi to inaczej.

Później Harold oznajmił Tomowi:

– Mary pytała mnie, czy jesteś ciotą.

– Gejem? Nic mi o tym nie wiadomo.

Akurat jedli śniadanie, cała rodzina siedziała przy stole. Jego młodsza przyrodnia siostra zerkała z ciekawością, jak to dziewczynki w jej wieku, a niemowlę uroczo gaworzyło, rozparte na wysokim krzeselku. Cudowna scena. Tom w duchu tęsknił za czymś takim, za taką przyszłością, za takim sobą. Jego ojciec pragnął normalnej rodziny i teraz ją miał.

– A więc o co chodzi? – drążył Harold. – Masz dziewczynę u siebie, tak?

– Powiedzmy – odparł Tom, nakładając sobie na talerz trochę tego i trochę owego.

– W takim razie powinieneś dać spokój Mary.

– Właśnie – przemówiła w imieniu swojej płci Molly. – To nie fair.

– Nie sądziłem, że czuje się ze mną związana.

– Tom – upomniał go ojciec.

– Tak się nie robi – oświadczyła jego macocha.

Tom milczał. Później poszedł do łóżka z Mary. Do tej pory spał tylko z Lil. To młode, sprężyste, świeże ciało okazało się rozkoszne. Było mu z nią dobrze i odczuł cichą satysfakcję na jej uwagę: „Myślałam, że jesteś gejem, naprawdę?”. Najwyraźniej była mile zaskoczona.

Odtąd Mary często spędzała noce z Tomem w domu Harolda i Molly. Panowała tam rodzinna i przytulna atmosfera. Jeśli nie wspomiano o ślubie, to tylko dlatego, że wszyscy chcieli być taktowni. I jeszcze z jednego powodu, choć nie zostało to jasno sformułowane. Pewnego razu, w łóżku, Mary, ujrawszy na pośladku Toma bliznę po ugryzieniu, zawołała:

– Boże! Co to? Pies?

– Ugryzienie z miłości – odparł po namyśle Tom.

– Czyje, na litość boską...?! – Mary próbowała w żartach wpassować w nią swoje zęby, ale natrafiła na jego nogę.

W końcu się od niej odsunął i powiedział: „Przestań”, w czym nie było nic złego, ale potem, tonem, jakim nigdy wcześniej do niej nie mówił, rzucił:

– Nigdy nie waż się tego robić.

Popatrzyła na niego w osłupieniu i się rozplakała, a on zwyczajnie wstał z łóżka i poszedł do łazienki. Wrócił ubrany i nawet na nią nie spojrzął.

Coś się wtedy wydarzyło... coś złego... W co nie wolno jej wnikać. Mary natychmiast to pojęła. Ten incydent tak ją zszokował, że niemal zerwała z Tomem.

Tom uznał, że może wrócić do domu. Uwielbiał wolność, której „tutaj” zaznawał, lecz to cudowne poczucie właśnie się ulotniło.

Stał się w tym mieście więźniem. Miasto nie było duże, ale nie o to chodziło. Polubił je – rozległe przedmieścia z parterowymi domkami, otaczające uniwersyteckie i biznesowe centrum, i wszędzie wokół porośnięta lichymi krzewami pustynia. Po wyjściu z próby w teatrze w ciągu dziesięciu minut mógł się znaleźć wśród kolczastych krzaków, czując pod nogami szorstki żółty piach, w którym ostrzegawczo jaśniały opadłe ciernie. „Uważaj, nie nastąp na nas, potrafimy przekłuć najgrubszą podeszwę”. Wieczorami, po spektaklu lub po próbie, ruszał przed siebie w mrok i przystawał, słuchając grania cykad, a nad nim lśniło i iskrzyło się barwnym ogniem nieskażone niebo. Gdy wracał do domu, zdarzało się, że czekała tam na niego Mary.

– Gdzie byłeś?

– Na spacerze.

– Czemu mi nie powiedziałeś? Ja też lubię spacerować.

– Z natury jestem samotnikiem, kotem chadzającym własnymi ścieżkami. Jeśli ci to nie odpowiada, trudno.

– Tylko nie urwij mi głowy – obruszyła się Mary.

– Lepiej, żebyś z góry wiedziała, w co się pakujesz.

Harold i Molly wymienili spojrzenia: to brzmiało jak deklaracja, czyż nie?

Doszukując się w tym obietnicy, Mary odpowiedziała:

– Na szczęście lubię koty.

Jednak w duchu chciało jej się płakać i odczuwała lęk.

Tom był niespokojny, targały nim zmienne nastroje. Czuł się bardzo nieszczęśliwy, choć o tym nie wiedział. Nie rozpoznał w sobie rozpacz. Istnieją ludzie niewyobrażalnie zdrowi, którzy nigdy nie chorują, a kiedy zaczynają nedomagać, są tak dotknięci, zawstydzeni i przerażeni, że mogą nawet z tego powodu umrzeć. Tom był emocjonalnym odpowiednikiem kogoś takiego.

– Co to? Co mi jest? – jęknął, budząc się którejs nocy z poczuciem, że coś ciężkiego przygniata mu pierś. – Chciałbym zostać w tym łóżku, z kołdrą naciągniętą na głowę.

Ale dlaczego? Przecież nic mu nie dolegało.

Aż pewnego wieczoru, gdy stał pod rozgwieżdżonym niebem, odczuwając taki smutek, że chciało mu się wyć, szepnął do siebie: „Dobry Boże, jestem nieszczęśliwy. O to właśnie chodzi”.

Powiedział Mary, że źle się czuje, a kiedy się zatroskała, rzucił: „Zostaw mnie”.

Z przedmieść tego niewielkiego miasta drogi, które szybko przemieniały się w szlaki wiodące na pustynię, biegły do miejsc, gdzie studenci wyprawiali się na wycieczki i pikniki. Między utartymi traktami wiły się ścieżki – prawie niewidoczne wśród wonnych krzaków, za dnia oblepionych przez motyle, a nocą odorujących falami zapachu, który wabił nietoperze. Tom ruszył drogą wyłożoną asfaltem, skręcił w polny trakt, aż w końcu trafił na zarośniętą ścieżkę prowadzącą na nieduże, pokryte głazami wzniesienie. Jedna ze skał była wielka i płaska i mimo późnego wieczoru, wciąż jeszcze nagrzana od słońca. Tom położył się na niej i pozwolił, by przepelnił go smutek.

– Lil – wyszeptał. – Lil.

Wreszcie dotarło do niego, że za nią tęskni. Na tym polegał problem. Dlaczego go to zdziwiło? Przez cały czas podświadomie czuł, że pewnego dnia pozna dziewczynę w swoim wieku i że... Ale wszystko to było takie mgliste. Lil istniała w jego życiu od zawsze. Leżał z twarzą przy skale i wdychał jej zapach, delikatną cierpką nutę metalu, woń rozgrzanego piachu i warzywny aromat małych roślinek w szczelinach głazu. Myślał o ciele Lil, które zawsze pachniało solą i morzem. Była niczym morski stwór. Gdy wychodziła z morza, woda schła na jej skórze, a później znów szła się kąpać. Tom przygryzł sobie rękę, gdy ożyło w nim pierwsze wspomnienie o Lil – to, jak zlizywał sól z jej ramion. To była taka zabawa małego chłopca i najlepszej przyjaciółki jego matki. Odkąd się urodził, silne dłonie Lil miały dostęp do każdego centymetra jego ciała. Jej ciało było mu równie dobrze znajome jak własne. Przypomnił sobie jej piersi zakryte jedynie stanikiem bikini, ledwie widoczną strużkę lśniącego piasku w rowku między piersiami i migotanie maleńkich ziarenek na jej ramionach.

– Lizalem ją dla soli, jak zwierzę lizawkę – wyszeptał.

Wrócił bardzo późno, dom pogrążony był w mroku. Nie poszedł spać, tylko usiadł, by napisać do Lil. Pisanie listów nigdy nie było w jego stylu. Uznawszy swój charakter pisma za nieczytelny, przypomniał sobie o starej maszynie do pisania wepchniętej pod łóżko. Wyciągnął ją i zaczął wystukiwać litery. Aby stłumić ostre dźwięki, podłożył pod maszynę ręcznik, jednak Molly usłyszała stukanie, zapukała do drzwi i spytała:

– Nie możesz zasnąć?

Tom przeprosił ją i przestał pisać.

Rankiem dokończył list, wysłał go i napisał następny. Zerknąwszy mu przez ramię i ujrawszy nagłówek, ojciec spytał:

– Więc to nie do mamy?

– Jak widzisz – odparł Tom i przemknęło mu przez głowę, że życie rodzinne ma jednak swoje minusy.

Odtąd pisywał listy do Lil na uczelni i wysyłał je osobiście.

Molly spytała, co mu jest. Odpowiedział, że kiepsko się czuje. Poradziła mu, żeby poszedł do lekarza.

Na pytanie Mary odrzekł, że nic mu nie jest.

Mimo to wciąż „tam” nie wyjeżdżał. Został tutaj, a to oznaczało, że został z Mary.

Codziennie pisywał do Lil, odpowiadał na jej listy, a raczej liściki, które niekiedy mu przysyłała. Dzwonił do matki, kiedy tylko mógł, spacerował po pustyni i powtarzał sobie, że w końcu mu przejdzie. Nie ma się czym martwić. Tymczasem jego serce było zimną, samotną bryłą i dręczyły go złe sny.

– Posłuchaj – nie wytrzymała Mary – jeśli chcesz zerwać, to mi powiedz wprost.

– Co zerwać? – pohamował się Tom. – Daj mi trochę czasu.

Później, pod wpływem nagłego impulsu, a może dlatego, że wkrótce miał zdecydować, czy podpisze kolejny angaż, oznajmił ojcu:

– Wyjeżdżam.

– A co z Mary? – spytała Molly.

Nie odpowiedział. Gdy wrócił, po godzinie znalazł się z Lil w jej łóżku. Ale nie było już tak samo. Teraz mógł porównywać – i porównywał. Nie chodziło o to, że Lil jest stara. Była piękna, o czym wciąż jej szeptał. „Jesteś taka piękna”. Lecz teraz ktoś rościł sobie do niego prawo, nieistotne kto. Mary, inna kobieta. Już niedługo będzie musiał... Wszyscy tego oczekiwali po nim.

Tymczasem Ianowi dobrze układało się z Roz. Z jego matką, matką Toma. Ian nie sprawiał wrażenia, że jest nieszczęśliwy albo że cierpi, wprost przeciwnie.

Później przyjechała Mary i zastała całą czwórkę szykującą się na plażę. Znaleźli dla niej pletwy, gogle i deskę surfingową. Po półgodzinie była gotowa, by wyruszyć wraz z dwoma młodymi mężczyznami na otwarte groźne, złe morze poza bezpiecznymi wodami zatoki. Mieli popłynąć małą motorówką. Ładna młoda dziewczyna, gładka i lśniąca jak rybka, chichotała i żartowała z Tomem i Ianem, a dwie starsze kobiety siedziały na leżakach. Patrzyły zza ciemnych okularów, jak nadpływa motorówka i zabiera całą trójkę w morze.

– Przyjechała tu po Toma – rzuciła jego matka.

– Wiem – odrzekła jego kochanka.

– Jest dosyć miła – oceniła Roz.

Lil nie odpowiedziała.

– Lil, myślę, że to jest moment, kiedy powinnyśmy się wycofać.

Lil nadal milczała.

– Lil? – Roz zerknęła na nią, poprawiając okulary, żeby lepiej widzieć.

– Chyba tego nie znoś – wyznała Lil.

– Musimy.

– Ian nie ma dziewczyny.

– Ale powinien mieć. Lil, oni zbliżają się do trzydziestki.

– Wiem.

W oddali, tam gdzie ostre czarne skały wynurzały się z białej piany u wejścia do zatoki, trzy maleńkie postacie zamachały do nich, nim zniknęły na otwartym morzu.

– Musimy solidarnie to zakończyć – podsumowała Roz.

Lil cicho szlochała. Roz dołączyła do niej.

– Musimy, Lil.

– Wiem.

– Chodź, popływamy.

Pływały szybko i ostro, oddalając się od brzegu i wracając, i w kółko, aż w końcu wyszły z wody i ruszyły prosto do domu Roz, żeby przygotować lunch. Była niedziela. Czekają je długie, ciężkie popołudnie.

– Muszę popracować – rzuciła Lil i pojechała do jednego ze swoich sklepów.

Roz podała lunch, tłumacząc nieobecność Lil, po czym oświadczyła, że też ma coś do załatwienia. Ian zaoferował się, że z nią pojedzie. Tom i Mary zostali sami i doszło do konfrontacji. „Albo jesteśmy razem, albo nie – przyparła go do muru Mary. – Tak albo nie. W morzu jest mnóstwo ryb. Już czas dorosnąć”. Tego rodzaju argumenty, stosowne przy takiej okazji.

Gdy pozostali wrócili, Mary oznajmiła, że ona i Tom zamierzają się pobrać. Posypały się gratulacje i wieczór zakończył się hucznie. Roz zaśpiewała mnóstwo piosenek, wtórował jej Tom i cała reszta. Kiedy przyszała pora iść spać, Mary została z Tomem u Roz, a Ian wyszedł z Lil.

Później Mary wróciła do domu, żeby zaplanować ślub.

Teraz już nie było odwrotu. Kobiety oświadczyły Tomowi i Ianowi, że to koniec. Oznajmiła im to Roz.

– Jak to?! – wykrzyknął Ian. – Dlaczego? Ja się nie żenię.

Tom siedział milczący, z zaciśniętymi zębami. Nalał wina do kieliszka, wypił je, nalał znowu, wypił i nadal milczał.

W końcu powiedział do Iana:

– One mają rację, nie rozumiesz?

– Nie! – wrzasnął Ian. Ruszył do pokoju Roz i ją zawołał, a Tom wyszedł z Lil.

Szlochając, Ian zaklinał Roz: – Dlaczego? Po co? Jesteśmy tacy szczęśliwi. Dlaczego chcesz to zepsuć?

Roz była nieugięta. Zdawała się zdeterminowana i nieczuła i dopiero zostawszy sama z Lil, kiedy mężczyźni wyszli, żeby porozmawiać, łkała razem z nią, powtarzając, że tego nie wytrzyma. Obu im serca się krajały i obie zgodnie uznały, że tego nie przeżyją.

Gdy tamci wrócili, kobiety były zapłakane, lecz stanowcze.

Lil nie zgodziła się, by Tom przyszedł do niej na noc, a Roz kazała Ianowi iść do domu z Lil.

– Wszystko zniszczyłaś – powiedział Ian do Roz. – To twoja wina. Nie mogło zostać tak, jak było?

Roz zaczęła dowcipkować:

– Głowa do góry. Odtąd staniemy się szacownymi paniami. Wasze grzeszne matki przemienią się we wzór cnoty. Będziemy idealnymi teściowymi i cudownymi babkami dla waszych dzieci.

– Nigdy ci tego nie wybaczę – rzekł Ian do Roz.

– Nigdy, przenigdy ci tego nie wybaczę – wyszeptał Tom do Lil, i tylko do niej.

Zabrzmiało to jak pożegnanie, niemal jak grzecznościowa formułka. Oznaczało, że serce Toma nie doznało trwałych uszkodzeń.

Nie trzeba dodawać, że ślub okazał się wielkim wydarzeniem. Mary poprzysięgła sobie, że nie da się zakasować swej egzaltowanej teściowej, zobaczyła jednak, że Roz, która pojawiła się na uroczystości w skromnym stroju, jest uosobieniem taktu. Lil była elegancka, blada i uśmiechnięta. Gdy tylko młoda para odjechała w swoją podróż poślubną, poszła popływać w zatoce, a Roz do niej nie dołączyła, gdyż jako dobra gospodyni nie mogła zostawić gości samych. Dopiero później zajrzała do domu naprzeciwko, by spytać ją o samopoczucie, jednak drzwi sypialni były zamknięte i Lil nie odpowiadała na jej pukania i nawoływania. Ian, jako družba, wygłosił na przyjęciu zabawną i sympatyczną mowę. Spotkawszy na ulicy Roz wracającą z domu Lil, rzucił: „I co? Jesteś z siebie zadowolona?”, po czym pobiegnął na plażę.

Roz wróciła do pustego domu, położyła się i wreszcie mogła sobie popłakać. Kiedy usłyszała, że ktoś puka do drzwi, od razu wiedziała, że to Ian, ale choć cierpiała katusze, przekreśliła się tylko na łóżku, zagryzając pięść.

Gdy młodzi wrócili z podróży poślubnej, Mary powiedziała Tomowi, który przekazał to matce, że jej zdaniem Roz powinna się wyprowadzić i zostawić im dom. Brzmiało to całkiem sensownie. Dom był duży, w sam raz dla rodziny. Problem stanowiły finanse. Przed laty dom miał przystępną cenę, gdyż cała dzielnica nie cieszyła się popularnością, ale teraz miejsce to stało się modne i na takie domy mogli sobie pozwolić tylko bogaci. W przyływie lekkomyślnej hojności Roz przekazała dom młodej parze w prezencie ślubnym. I gdzie miała teraz zamieszkać? Nie stać jej było na zakup podobnego domu, wynajęła więc pokój w hotelu przy plaży. Oznaczało to, że pierwszy raz, odkąd przyszła na świat, nie mieszkała tuż obok Lil. Początkowo nie rozumiała, dlaczego czuje się taka niespokojna, smutna i osamotniona. Składała to na karb rozstania z Ianem, lecz w końcu dotarło do niej, że tęskni za Lil niemal tak mocno, jak za nim. Poczula, że dosłownie z tygodnia na tydzień utraciła dokumentnie wszystko. Nie miała jednak refleksyjnej natury – była jak Tom, którego zawsze dziwiły własne emocje, gdy musiał je dostrzec. Aby uporać się z poczuciem pustki i straty, zatrudniła się na pełny etat jako wykładowczyni na wydziale teatrologii, dużo pracowała, dwa razy dziennie pływała i brała środki nasenne.

Mary wkrótce zaszła w ciążę. Wtedy wszyscy, a wśród nich Saul, zaczęli rzucać typowe

w takich okolicznościach żarty pod adresem Iana: „Chyba nie dasz się wyprzedzić kumplowi? Kiedy ślub?”.

Tymczasem Ian też ciężko pracował, próbując za wszelką cenę nie pozostawiać sobie czasu na rozmyślanie. Choć refleksja i introspekcja były bliskie jego naturze, teraz czuł, że są niczym wrogowie, którzy tylko czyhają, by go zaatakować. W mieście, w którym mieszkał Harold, otwierał nowy sklep. Molly była w ciąży. Ian nie zatrzymał się u nich, lecz w hotelu. Oczywiście odwiedzał Harolda, który był dla niego jak ojciec – tak przynajmniej deklarował. Ian spotkał tam przyjaciółkę Mary, Hannah. Wpadł jej w oko podczas ślubu Toma. Nie żeby mu się nie podobała, przeciwnie. Odpowiadał mu jej swobodny sposób bycia. Łatwo było dostrzec w niej przyszłą matkę. On jednak czuł tylko pustkę, w której pobrzmiwało jakieś echo, i nie potrafił sobie wyobrazić, że kocha się z inną, a nie z Roz. Każdego ranka pływał na „ich” plaży. Czasami widywał tam Roz. Pozdrowiał ją, ale obracał się na pięcie, jakby jej widok go ranił – bo tak rzeczywiście było. Zaczął częściej wyprawiać się motorówką na plażę dla surferów. Przedtem zawsze udawał się tam z Tomem, ale Tom miał teraz na głowie Mary i dziecko.

Któregoś dnia, gdy Roz po kąpieli leżała na piasku, właściciel motorówki przypłynął tam specjalnie, żeby ją odszukać. Wyłączył silnik. Łódka bujała się delikatnie na falach, a on wskoczył do wody i zaczął ciągnąć ją za sobą na brzeg niczym psa na smyczy. Zwrócił się do Roz:

– Pani Struthers, Ian bardzo ryzykuje. Jest na co popatrzeć, ale aż się o niego boję. Jak spotka pani jego matkę... A może pani sama...

– Pouczać mężczyznę w wieku Iana, żeby był ostrożny, to ponad siły matki. Moje także.

– Ktoś powinien go przestrzec, bo sam prosi się o nieszczęście. Do fal na otwartym morzu trzeba podchodzić z respektem.

– Ostrzegł go pan?

– Próbowałem.

– Dziękuję. Powiem jego matce.

Przekazała to Lil. Ta upomniała syna, że za bardzo ryzykuje. Doświadczony właściciel motorówki martwi się o niego, a to chyba coś znaczy. Ian rzucił tylko: „Dzięki”.

Pewnego razu o zachodzie słońca właściciel motorówki zastał Roz czy też Lil na plaży, jednak postanowił pójść do domu Toma. Znalazł Mary i powiedział jej, że Ian leży ranny na jednej z plaż nad otwartym morzem.

Ian trafił do szpitala. Gdy lekarz oznajmił mu, że będzie żył, z wyrazu jego twarzy można było wnieść, że wolałby usłyszeć inną wiadomość. Miał uszkodzony kręgosłup, ale pewnie wróci on do normy. Zranił się też w nogę i ta już nigdy nie będzie funkcjonować normalnie.

Gdy wypisano go ze szpitala, musiał leżeć w łóżku w pokoju, w którym przez lata tylko się przebierał przed kolejną wizytą u Roz w domu naprzeciwko. Teraz mieszkali tam Tom i Mary. Ian leżał z twarzą odwróconą do ściany. Matka próbowała zachęcać go do wstawania i ćwiczeń, ale bez skutku. Nie udało się to Lil, ale udało się Hannah, która przyjechała w odwiedziny do Mary, sypiała w jej domu i większość czasu spędzała przy Ianie. Przesiadывała przy nim, trzymając go za rękę. W jej oczach często widać było łzy współczucia.

– Dla sportowca to musi być bardzo bolesne – mówiła wciąż do Lil, Mary i Toma. – Rozumiem, dlaczego jest taki załamany.

Trafne określenie, adekwatne. W końcu Hannah przekonała Iana, by obrócił ku niej głowę, a niedługo potem, żeby wstał i zgodnie z zaleceniami lekarzy spacerował po pokoju. Później wyciągnęła go na werandę, a z czasem na drugą stronę ulicy i na plażę. Ian nie mógł już jednak pływać na desce. Odtąd zawsze miał utykać.

Hannah pocałowała jego biedną nogę, a później jego. Ian szlochał razem z nią. Jej łzy

dały mu przyzwolenie do płaczu. Wkrótce odbyło się następne wesele, jeszcze huczniejsze niż poprzednie, bo Ian i Liliane byli bardzo znani, a ich sieć sklepów przynosiła profity każdemu miastu, do którego zawitała. Słynęli też z działalności dobroczynnej i życzliwości dla ludzi.

I tak młoda para, czyli Ian i Hannah, zamieszkała z Lil w jej domu. Położony naprzeciwko dawny dom Roz należał teraz do Toma i Mary. Lil nie czuła się dobrze w roli teściowej i za każdym razem, gdy patrzyła na tak bardzo odmieniony dom po drugiej stronie ulicy, ogarniał ją smutek. Tyle że w przeciwieństwie do Roz była bogata, kupiła więc jeden z domów stojących niemal na samej plaży, niecałe dwieście metrów od obu młodych małżeństw. Wprowadziła się do niego Roz. Przyjaciółki znów były razem. Spotkawszy je, Saul Butler pozwolił sobie na ironiczny komentarz:

– Znowu razem, jak widać!

– Jak widać, nikt cię nie nabierze – odparła Roz albo Lil.

Później Hannah zaszła w ciążę i Ian odczuwał stosowną dumę.

– Wszystko dobrze się skończyło – podsumowała Roz.

– Pewnie tak – zgodziła się z nią Lil.

– Bo czego można się jeszcze spodziewać?

Siedziały na plaży, na swoich starych leżakach ustawionych przed nowym parawanem.

– Ja tam niczego się nie spodziewałam – odrzekła Lil.

– Ale...?

– Nie spodziewałam się, że będę czuła to co teraz. A czuję...

– Dobra – ucięła Roz. – Daj spokój. Wiem, ale podejdz do tego inaczej. Miałyśmy...

– Wszystko, co najlepsze. Teraz wydaje mi się to jak sen. Nie mogę uwierzyć, że spotkało nas takie szczęście, Roz – szepnęła Lil, obracając ku niej twarz i lekko się pochylając, choć w promieniu pięćdziesięciu metrów nie było żywego ducha.

– Tak, ale się skończyło. – Roz wyciągnęła się na leżaku i zamknęła oczy, a spod ciemnych szkieł jej okularów pociekły łzy.

Ian często jeździł z matką na inspekcję sklepów. Wszędzie witano go serdecznie i z szacunkiem. Wszyscy wiedzieli, w jakich okolicznościach okulał. Bohaterski niczym zdobywca Mount Everestu, mężny niczym... człowiek, który umyka fali wielkiej jak góra... taki dżentelmen, przystojny, uprzejmy, miły. Zupełnie jak jego matka.

Podczas jednej z owych podróży, w hotelowym apartamencie, tuż przed snem, Lil obiecała Ianowi, że po powrocie zabierze małą Alice na cały dzień, żeby Mary mogła się wyprawić po zakupy.

– Wy dwie naprawdę jesteście bardzo zadowolone z siebie – rzucił zjadliwie Ian, zupełnie nie w swoim stylu.

Lil uświadomiła sobie, że nigdy wcześniej nie mówił do niej takim tonem.

– Dla was tak jest lepiej – dodał.

– Co masz na myśli? Co ty wygadujesz?

– Nie winię ciebie. Wiem, że to pomysł Roz.

– Obie na to wpadłyśmy.

– Dobrze wiem, że to Roz cię podjudziła. Tobie nie przeszłoby to przez myśl. Tylko szkoda Toma. I mnie.

Lil zaczęła się śmiać słabym, defensywnym śmiechem. Pomyślała o latach spędzonych z Tomem, gdy obserwowała jego przemianę z pięknego chłopca w mężczyznę i patrzyła, jak przybywa mu lat. Wiedziała, jak to się skończy i że się skończy, i że powinna to zakończyć – ona i Roz. Ale to było takie trudne...

– Ian, zdajesz sobie sprawę, że robisz wrażenie obłąkanego, mówiąc takie rzeczy?

– Czemu? Nie rozumiem.

– A co myślałeś? Że będziemy to ciągnąć w nieskończoność, ty i Tom, dwaj kawalerowie w średnim wieku, i Roz i ja, dwie stare kobiety? Zestarzelibyście się samotnie, a my też byłybyśmy coraz starsze. Starzejemy się, nie widzisz tego?

– Nieprawda – odparł spokojnie jej syn. – Ani trochę. Rozkładacie na łopatki wszystkie dziewczyny.

Miał na myśli Hannah i Mary? Bo jeśli tak... Przeraził ją czysty obłęd tego stwierdzenia. Wstała.

– Idę do łóżka.

– Roz cię do tego namówiła. Nie wybaczę ci, że się zgodziłaś. I niech Roz nie myśli, że wybaczę jej, że wszystko popsuka. Byliśmy tacy szczęśliwi.

– Dobranoc. Do zobaczenia na śniadaniu.

Hannah urodziła córeczkę, Shirley, i spędzała dużo czasu z Mary. Ich mężowie i dwie

starsze kobiety czekały na wieści o logicznych w tej sytuacji kolejnych ciążach. Nagle, ku ich zaskoczeniu, Mary i Hannah oznajmiły, że zamierzają otworzyć własną firmę. Natychmiast usłyszały sugestię, by zatrudniły się w sieci sklepów Lil i Iana. Miałyby elastyczny czas pracy i trochę by zarobiły... W konsekwencji łatwo byłoby im wpasować w ten plan kolejne dzieci.

Mary i Hannah jednak odmówiły, wołały rozkręcić własną firmę, tylko we dwie.

– Myślę, że możemy wesprzeć was finansowo – powiedział Ian, lecz Hannah odparła:

– Nie, dzięki. Ojciec Mary nam pomoże. Jest nadziany.

Często kiedy Hannah coś mówiła, zdawało im się, że słyszą Mary.

– Chcemy być niezależne – dorzuciła Hannah lekko przeprasającym tonem, bo chyba miała świadomość, że brzmi to, oględnie mówiąc, niewdziecznie.

Żony wyjechały na weekend do rodziców, zabierając ze sobą dzieci, żeby się nimi pochwalić.

Tymczasem Lil, Roz, Tom i Ian usiedli przy stole w domu Roz – w dawnym domu Roz – i szum fal przekonywał ich, że nic się nie zmieniło, nic... oprócz tego, że jak to w nowoczesnej rodzinie, wszędzie wokół wałały się rzeczy małej Alice.

– Bardzo dziwna ta ich zachcianka – odezwała się Roz. – Rozumiecie to? O co im chodzi?

– Jesteśmy dla nich... zbyt przytłaczający – odparła Lil.

– My. One – wtrącił Ian. – One. My.

Wszyscy spojrzeli na niego, żeby zrozumieć, co ma na myśli.

– Bardzo się staramy – wybuchnęła Roz. – Ja i Lil robimy, co w naszej mocy.

– Wiem – potwierdził Tom. – Obaj to wiemy.

– Ale jednak tu siedzimy – podchwycił Ian. – Siedzimy tu. – Gniewnie nachylił się ku Roz, zupełnie jak nie on, zwykle taki wytworny i miły. – Bo nic się nie zmieniło, prawda, Roz? Powiedz prawdę, zmieniło się?

Pełne łez oczy Roz napotkały jego wzrok. Wstała, żeby się schronić za rytuałem przynoszenia zimnych drinków z lodówki.

Spokojnie wpatrując się w Toma, Lil powiedziała:

– To na nic, Roz. Przestań... – bo Roz szlochała w milczeniu.

Jej okulary przeciwsłoneczne leżały na stole. W końcu je włożyła, nakierowała ciemne okrągłe szkła na Iana i rzuciła:

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. Dlaczego wciąż do tego wracasz? Było, minęło.

– Więc nic nie rozumiesz – rzekł Ian.

– Przestańcie – wtrąciła Lil, która też się rozplakała. – Jaki to ma sens? Trzeba się zastanowić, co im powiedzieć. Oczekują naszego wsparcia.

– Powiemy im, że będziemy je wspierać – oznajmił Ian i dodał: – Idę popływać.

Cała czwórka pobiegła do wody, Ian trochę utykając, ale nie za bardzo.

Ciekawe, że podczas ich rozmowy tamtego popołudnia nie poruszono pewnej kluczowej

kwestii. Skoro obydwie żony miały rozkręcać firmę, to jaka rola przypadnie babciom?

Druga rozmowa, w której uczestniczyła cała szóstka, dotyczyła właśnie tej sprawy.

– Pracujące babcie. Nawet mi się to podoba, a tobie, Lil? – spytała Roz.

– Dobre pytanie. Nie zrezygnuję z zarządzania sklepami. Jak poradzimy sobie z dziećmi?

– Bardzo prosto – odparła Roz. – Będziemy się wymieniać. Mam długie wakacje na uniwersytecie, a tobie zawsze może pomóc Ian. Do tego dochodzą weekendy. Poza tym dziewczyny na pewno będą chciały czasami zobaczyć swoje aniołki.

– Sugerujesz, że będziemy je zaniedbywać? – obruszyła się Mary.

– Skąd, kochanie! Nic podobnego. W dodatku Lil i ja zawsze miałyśmy panie, które czuwały nad naszymi skarbami, prawda, Lil?

– Owszem, choć nie korzystałyśmy z takiej pomocy zbyt często.

– Cóż, chyba rzeczywiście możemy zatrudnić au pair – zgodziła się Mary.

– Widzę, że się zapaliłaś. Jasne, że możemy. Poza tym zawsze możecie liczyć na babcie – podsumowała Roz.

Zapoznanie dzieci z morzem przemieniło się w prawdziwy rytuał. Na plaży stawiała się cała szóstka dorosłych. Rozłożono koce. Roz i Lil, babcie w bikini, usadziły sobie dziewczynki między nogami i zaczęły smarować je kremem. Małe delikatne stworzonka o płowych włosach i jasnej skórze, a wokół nich oni, wielcy i troskliwi dorośli.

Mamusie, z pomocą Toma i Lil, zabrały córki do morza. Maleństwa chlapały się w wodzie i krzyczały z przerażenia i rozkoszy, a dorośli dodawali im odwagi. Hałaśliwa scena.

Tymczasem na kocach, które zdążyły się już pokryć strużkami lśniącego piasku, zostali Roz i Ian. Spojrzał na nią przeciągle, z uwagą, i powiedział:

– Zdejmij okulary.

Roz spełniła jego życzenie.

– Nie lubię, kiedy skrywasz przede mną oczy – wyjaśnił.

Roz natychmiast włożyła z powrotem okulary i rzuciła:

– Przestań. Opanuj się wreszcie. Sprawa jest zamknięta.

Wyciągnął rękę, by je zdjąć. Strąciła ją. Lil widziała to, stojąc po pas w wodzie. Dostrzegła towarzyszące tej scenie napięcie, może nawet gwałtowność... Czy Hannah też zauważyła? I Mary? Nagły krzyk Alice. Akurat przypląnęła duża fala...

– Ugryzło mnie! – pisnęła mała Alice. – Morze mnie ugryzło!

Ian podbiegł i chwycił Shirley, która teraz też wpadła w panikę.

– Nie widzisz?! – wrzasnął do Hannah, przekrzykując odgłos fal. – Straszysz ją. One są przerażone.

Trzymając na rękach obydwie dziewczynki, pokuśtykał na brzeg. Zaczął je podrzucać i tańczyć, lecz z każdym krokiem utykał coraz bardziej i dzieci płakały coraz bardziej.

– Babciu! – zakwiliła Alice.

– Ja chcę do babci! – szlochała Shirley.

Dziewczynki trafiły na kocyk. Lil wróciła do Roz. Babcie zaczęły koić i uspokajać maluchy, a reszta dorosłych poszła popływać.

– Moja kaczuszka – zaszcebiotała Roz do Alice.

– Moje biedactwo – zamruczała Lil do Shirley.

Niedługo potem młode matki zaczęły urzędować w nowym biurze, w wynajętym apartamencie, który – o czym były przekonane – miał się stać sceną ich przyszłych triumfów. „Organizujemy drobną uroczystość”, oznajmiły, dając do zrozumienia, że wezmą w niej udział współpracownicy, sponsorzy i znajomi. Tymczasem świętowały same. Piły szampana i były nieco wstawione.

Firma działała już rok. Obydwie pracowały bardzo ciężko, ciężiej, niż się spodziewały. Interes szedł tak dobrze, że zaczęły poważnie myśleć o powiększeniu firmy. Oznaczało to jeszcze dłuższe godziny pracy i większe zaangażowanie ze strony babć.

– Nie będą miały nic przeciwko temu – uspokajała Hannah.

– A ja myślę, że tak – wieszczyła Mary.

Powiedziała to jakoś dziwnie. Hannah zaczęła się zastanawiać, co w istocie chciała jej przekazać.

– Nie chodzi o to, że my będziemy musiały zasuwać i one także. Po prostu chcą, żebyśmy znowu zaszły w ciążę.

– Otóż to – zgodziła się z nią Mary.

– Nie mówię nie – wyznała Hannah. – Powiedziałam Ianowi, że dobrze, ale nie musimy się śpieszyć. Najpierw niech firma okrzepnie, a później zobaczymy. Ale masz rację, im bardzo na

tym zależy.

– No właśnie. A jeśli im zależy, to zechcą dopiąć swego.

W tym momencie Hannah trochę się zaniepokoiła. Ustępliwa i zgodna z natury zaczęła ulegać silnej Mary, ale teraz postanowiła być asertywna.

– Uważam, że zachowują się wobec nas bardzo miło.

– A kim, do cholery, są, żeby okazywać nam uprzejmość? – zdenerwowała się Mary.

– Daj spokój! Nie założyłybyśmy firmy, gdyby nam nie pomagały.

– Roz bez przerwy jest taka cholernie taktowna – wybuchnęła Mary. Spory udział miał w tym szampan. Nalała sobie jeszcze. – Obie są takie taktowne.

– Ty chyba lubisz utyskiwać.

– Mam wrażenie, jakby cały czas nas obserwowały, by się upewnić, że spełnimy oczekiwania.

– Jakie oczekiwania?

– Nie wiem – odparła bliska łez Mary. – Chciałabym wiedzieć. Coś tu jest nie tak.

– Nie chcą być wścibskimi teściowymi.

– Czasami ich nienawidzę.

– „Nienawidzę”... – Hannah zbyła to słowo uśmiechem.

– Oni wciąż są ich. Nie widzisz tego? Czasami czuję się...

– Bo dorastali bez ojców. Ojciec Iana zginął, a Toma odszedł i ożenił się z inną. Dlatego ta czwórka jest taka zżyta.

– Mam to gdzieś. Czasami czuję się jak część zamienna.

– Uważam, że jesteś niesprawiedliwa.

– Tomowi i tak wszystko jedno, kto jest jego żoną. Mógłby ożenić się z mewą albo... z wombatem.

Hannah wybuchnęła śmiechem, odchylając się na krześle.

– Serio. Zawsze jest taki cholernie uprzejmy. Taki miły. Wrzeszczę na niego, prowokuję go, robię wszystko, żeby mnie wreszcie dostrzegł, a później łądujemy w łóżku, rżnąc się aż miło.

Hannah nie miała podobnych odczuć. Wiedziała, że Ian jej potrzebuje. Nie chodziło jedynie o to, że jest od niej uzależniony z powodu niesprawnej nogi. Po prostu lgnął do niej, jak dziecko. Tak, miał w sobie coś z dziecka, troszkę. Którejś nocy wołał przez sen Roz. Hannah obudziła go i powiedziała: „Śniła ci się Roz”.

Nagle całkiem rozbudzony i czujny odparł: „Nic dziwnego. Znam ją od zawsze. Była dla mnie jak druga matka” – i zatopił twarz w jej piersiach. „Hannah, nie wiem, co ja bym bez ciebie zrobił”.

Teraz, gdy Hannah zaczęła oponować, Mary poczuła się jeszcze bardziej samotna. Kiedyś wiedziała, że ma przynajmniej ją.

Analizując potem ich rozmowę, Mary doszła do wniosku, że coś jej umyka. Zawsze miała

takie wrażenie. Ale właściwie na co mogła się skarżyć? Hannah miała rację. Gdyby spojrzeć na nie z zewnątrz, na żony dwóch godnych pożądaniami, znanych, solidnych, zamożnych i powszechnie lubianych mężczyzn – jaki miały powód, żeby się skarżyć? „Mam wszystko”, pomyślała Mary. Lecz za chwilę głos, gdzieś z głębi, oznajmił: „Nie mam niczego”. Wszystkiego jej brakowało. „Nie mam niczego”, powtórzyła, czując, jak zalewa ją pustka. W rdzeniu jej życia nie było nic, tylko to poczucie braku.

Jednak nie potrafiła wskazać palcem, co jest nie tak, czego brakuje. Obwiniła siebie. Ale za co? Dlaczego? Wciąż się nad tym głowiła. Czasami czuła się tak nieszczęśliwa, że była gotowa uciec stąd na zawsze.

Kiedy znalazła stertę listów w jakiejś starej torbie, początkowo sądziła, że to korespondencja między Lil i Tomem, typowe listy od dobrej przyjaciółki czy nawet drugiej matki. Zaczynały się: „Drogi Tomie” i kończyły: „Ściskam, Lil”. Czasami było tam jeszcze jedno „X” albo dwa, zamiast buziaków. Ale natknęła się też na list, którego Tom ostatecznie nie wysłał. „Dlaczego nie mogę do Ciebie pisać? Dlaczego? Muszę! Bez przerwy o Tobie myślę. Boże, Lil, tak bardzo Cię Kocham, śnię o Tobie, nie znoszę, kiedy Cię nie ma, Kocham Cię, Kocham...” – i tak w kółko, strona po stronie. Wtedy ponownie przeczytała listy od Lil i ujrzała je w innym świetle. I wszystko zrozumiała. Gdy stała z Hannah na ścieżce prowadzącej do restauracji U Baxtera i usłyszała śmiech Roz, wiedziała, że to śmiech szydrczy. Szydźił z niej, z Mary. Wreszcie wszystko zrozumiała. Wszystko stało się dla niej jasne.



Odwiędź
nas na 

Opowiadanie "Idealne matki" ukazało się wcześniej w zbiorze opowiadań Doris Lessing pod tytułem "Dwie kobiety"

DORIS LESSING

Miłość jest tam, gdzie nikt jej nie szuka

DWIE KOBIETY



ROBIN WRIGHT i NAOMI WATTS

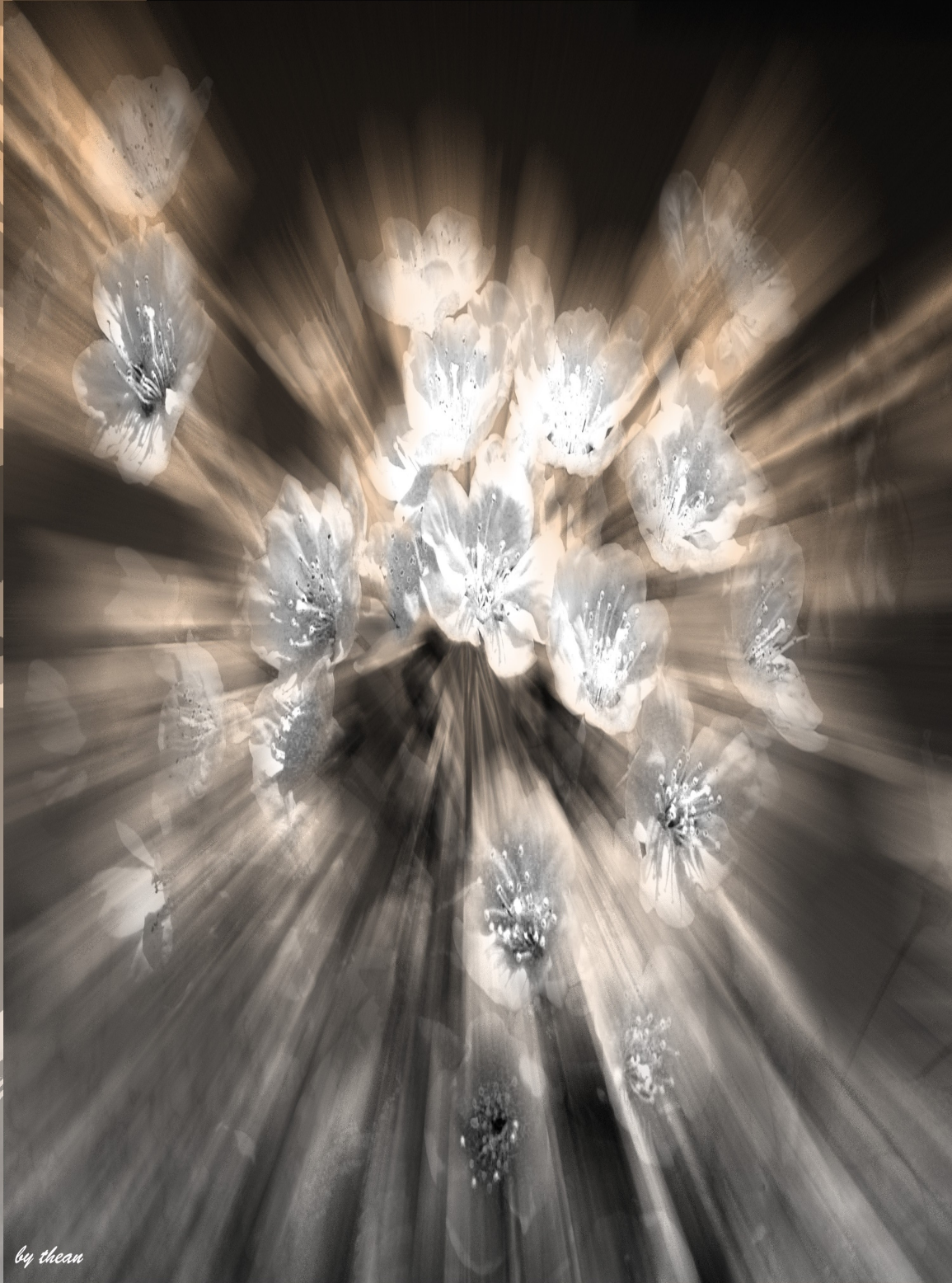
w ekranizacji
opowiadania noblistki



DORIS LESSING
IDEALNE MATKI

FILM W KINACH





by thean